



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. 5 marek

MODLITWA.

Gdy modlitwa nam każe wzrok podnieść ku górze,
Ziemia z wszystką swą nędzą zostaje gdzieś w dole,
Oczy szukają bożych aniołów w lazurze,
Chłodzące krople rosy czujemy na czole.

Ucisza się zwolna wszystkie serca bóle
I zakwitają cudu te mistyczne róże,
Wśród których blaskiem słońca odbite na chmurze,
Oblicze Boga widzimy w promienistym kole.

I stoimy zachwytem pobożnym przejęci,
Lecz zwolna w sercu rodzi się tęsknota cicha:
Pragniemy się od ziemi oderwać, jak święci, —
Ustami się już dotknąć wieczności kielicha;

Słyszemy głos, mówiący nad zórz blaskiem złotym,
Że Chrystus szedł przez ziemię zlaną krwawym [potem.

Marya Ilnicka.

MARYA PAPE-CARPENTIER.

Francya ma wkrótce uczcić pamięć jednej ze szlachetnych córek swoich posągami, który stanie w Paryżu, w gmachu ministerium oświecenia, gdyż ta dobrze krajowi swojemu zasłużona kobieta pracowała na polu edukacji publicznej nauczania dzieci ludu. Historia życia Maryi Pape-Carpentier przedstawia przedewszystkiem dzieła tej pracy, bo urodzona (w 1827) z rodziny ubogiej, przez matkę szlacheckiej, w mieście la Flèche, bardzo wczesnie wpręgiła się w jarzmo pracy, aby stać się pomocą tej matce wdowie, z którą zamieszkiwała stary dworek na przedmieściu i gdzie w małym ogródku z altaną, ocienioną dzi kiem winem, kształciła się niemal sama, niemal ukradkiem, czerpiąc naukę z książek, znalezionych w bibliotece domowej.

Tu, w tem życiu cichem, niemal odcieciem od ruchu żywego świata, przystąpił do niej duch poezyi; wiersze jej zwróciły na nią uwagę ludzką, pozyskały jej przyjaciół w wyższych sferach towarzyskich i gdy zbiorek jej poezyi wyszedł, prokrowano młodej poetce świetną przyszłość literacką; lecz serce jej nie było samolubnem, serce jej umiało kochać i matka była jej droższą, niż sława, niż nawet to natchnienie, które rzuciło jedyny promień jasnej jej smutnej, w ciężkich, trudnych warunkach istnienia upływającej wiosny życia. Karyera literacka w owych czasach nie przedstawiała jej możliwości przyniesienia materjalnej ulgi zmęczonej życiem matce, i dlatego — z miłości dziecinnej, z poczucia obowiązku córki dobrej została dozorczynią ochronki miejskiej, najpierw w la Flèche, potem w lat parę w Mans, a że to była ofiara, że to było poświęce-

nie najdroższych jej upodobań w życiu, świadcza jej pamiętniki, w których pisze: „Wzięłam się do tego bez żadnej radości w sercu, może nawet ze smutkiem. Przypominałam sobie, ile łez wylałam, kiedy biedną, małą dziewczynką chodziłam do szkoły i nie przypuszczałam, aby były tu inne prawa karności, niżeli te, którem ja i moje towarzyski ulegały niegdyś; wspomnienie tego, com cierpiała, myśl, że będę musiała zadawać cierpienia podobne innym małym ofiarom, przedstawiła mi obowiązek, który przyjmowałam, jako rzecz przykrą a nawet bolesną. Może być, że z tego uczucia wpływała w obejściu mojem z dziećmi pewna łagodność, która kazała im kochać mnie i starać się podobać mi. Prawie nigdy nie karałam, a niemniej moje dzieci stawały się dobrymi. Ich niewątpliwe przywiązanie do mnie wskazało mi drogę, jaką tu iść należy“.

Uważała to za odkrycie rzeczy nieznaney i ogłoszenie tej metody nauczania przedstawiło się jej jako obowiązek. Wzięła się też do pióra, napisała książkę dla koleżanek swoich w elementarnem nauczaniu ludowem: *Conseils pour la direction des salles d'asiles*, a że to było istotnie dobre objawienie tajemnic, jak należy wziąć się do pokierowania dzieckiem ludu, którego wychowanie domowe, zaniedbane z konieczności, nie przygo wuje do takiej karności wychowawczej, z jaką się tu spotyka, dowodzi fakt, że książka zwróciła na siebie wielką, bo ogólną, uwagę wszystkich sfer edukacyjnych Francyi. Rada Królewska Uniwersytetu paryżskiego, Towarzystwo Nauczania Elementarnego, nakazały ją odośnym zakładom nauczania, a wskutek sprawozdania, które Villemain przedstawił Akademii Francuzkiej, naukowe to ciało przyznało autorce (w 1847 r.) nagrodę 3.000 fr.

Jakiem musiało być wrażenie, wywarłe przez ten rozgłos, przez to uznanie ogólne na duszy młodej, skromnej kobiety? Nietylko ci, których zawodem było nauczanie, przyznali jej autorce nie-

pospolitą zasługę; Béranger, natura szlachetna i uczuciowa, zapalił się uwielbieniem dla tej poetki, która tak umiała wnosić w życie poezję i napisał do niej list pełen gorącego uczucia, w którym znajdował się ustęp taki: „Jest zawsze na świecie do czynienia coś lepszego jeszcze, niż składaniem rymów, jakkolwiekby to ktoś umiał czynić dobrze, i żałuję zawsze tego, kto by odwróciwszy wzrok po za siebie dostrzegł, że jedynie tylko wiersze zostawił poza sobą. Pani wybrałaś sobie część lepszą tworzenia poezji życia: zajęłaś się kształceniem dzieciństwa ludu francuskiego, a że wywiązujesz się z zadania, jako kobieta wyższa, dowodzi książka twoja. Nie może ona być nigdy dość zalecaną, dość czytana i rozważaną przez tych, którzy podobnie, jak ty, pani, zajmują się wychowaniem. Ach! ileż to razy powiedziałem sam sobie, że uczyć czytać dzieci biedne jest rzeczą stokroć lepszą, niż składać wiersze, a nawet poświęcić się zawodowi filozofa. Obok tego żałowałem też nieraz, że nie zostałem uczciwym lekarzem wiejskim... Mała książeczka pani dowodzi, że czujesz tak jak ja, tylko, ty postępujesz konsekwentniej. Należy ci za to zaszczyt!...”

Wszystkie uwagi, wszystkie wskazówki, które młoda autorka zamieściła w swojej książce, zostały uznane i przyjęte przez ogół pedagogów francuskich. Książkę jej nakazano, jako przewodnika w postępowaniu z dziećmi, wszystkim ochromom Francji; czy jednak rady i wskazówki tam podane, zostały zrozumiane przez wszystkie nauczycielki? W każdym razie przecież stanowi to i będzie stanowi jej zasługę nigdy nieprzestarzałą i godną po tylu upłynionych latach pomnika, że książka taka wyszła, że obudziła w sferach nauczających myśli, czem jest w wychowaniu dziecka uczucie i jak używać go tu można, jako najsilniejszego motora edukacyjnego? Trzeba dziecko kochać — napisała tam serdeczna ta myślicielka. — Bez tej potężnej pomocy wszystko przepada w nauczaniu od pierwszej jego chwili, od dnia pierwszego. Gdy raz wejdziesz na złą drogę, ostatni to krok wywołuje tu katastrofę, lecz pierwszy wiedzie do niej.

A jakie tu są rozumne uwagi o wpływie uczucia na samą nauczycielkę! Ta, która przystępuje do zawodu nauczania bez miłości dziecka, jest — musi być, w zawodzie swoim najpierw nieszczęśliwą, a następnie winną tych wszystkich niedoborów, które wywiązuwać się tu muszą koniecznie z braku sympatycznego węzła między dzieckiem a osobą nauczającą. Dlaczego uznano wszędzie, we wszystkich krajach, że pierwsze nauczanie powinno być oddane kobietom? Dlatego... dla tego... powtarza autorka z naciskiem, że każda kobieta, która już zupełnie nie jest zimną, egoistyczną naturą, dziecko kocha, czuje się miłośniczką, tkliwie dlań usposobioną przez ten instynkt macierzyństwa, który natura już mieści w pierś kobiety i którego nie umie rozwinąć w sobie tylko zimna, twardego serca egoistka. Odpowiada temu poniekąd wiersz naszego poety, rady dawane mężkiewi sercu, jaką kobietę ukochać ono powinno na trwałą miłość i szczęście życia. „Która kocha bez przesady śpiewy, tańce dzieci, kwiatki, szaleje za nią, bo to żona przez Opatrzność naznaczona“...

W kilku lat później, w 1850 r., wyszło drugie dziełko autorki już teraz mającej do pomocy dla wychowawczej myśli swojej doświadczenie: „Enseignement pratique de salles d'asile“. Poprzednio przemawiała głównie uczucie dobrej, tkliwej, czysto kobiecej natury — uczucie, któremu pomagała poetyczna, więc delikatna, organizacja myśli, zdolna rozumieć wszystkie stany uczucia w sercu ludzkim, zatem i w serduszkach dzieci. Teraz jest to już praca rozumu, którego władze chce w nauczycielkach rozbudzić i do zamierzonego celu skierować, co określa sama w przedmowie. „Wywołać w młodych nauczycielkach idee wychowawcze, wskazać ich nauczaniu, o ile można dokładnie, punkt wyjścia odpowiedni“ — to założenie, to przewodnia myśl książki, którą Akademia Francuska wieniec znowu nagrodą w 1850 r. Znajduje się tu zbiór powiastek, obliczonych na rozbudzenie umysłu dziecinnego, wprowadzenia weń pewnych idei oderwanych — rozbudzenie sumienia, ogrzanie serca

przez uczucie, które oświeca wielka idea miłości — miłości rodzinnej, miłości społeczeństwa swego, ludzkości. Już to dzieło jedno zapewniło, by autorce miejsce poważne w pedagogicznej literaturze francuskiej; jest ona przecież nie tylko pracowitą, ale sercem całkiem przywiązaną do tych idei wychowawczych, które chce wprowadzić w ludową edukację Francji. Książka może wiele, ale niewszystko jeszcze, więc pragnie przeprowadzać zadanie swoje przez szkołę dla ochroniarek: „Ecole Normale Maternelle“, którą zakłada w Paryżu, a która rozwija się tak szczęśliwie, że pierwszy skromny lokal przy ulicy Neuve Paul wkrótce już starczyć nie może, a jako przykład, że rzecz prawdziwie dobra z małych początków może się na wielką przemienić, trzeba pokazać, jakim był tu początek. Miała pięć pensjonarek, którym za sypialnię służył duży pokój na pięć części przez kretonowe firanki podzielony. Salą wykładową był zwykły salon o dwóch oknach, i oto w cztery lat potem rząd daje szkole, do której cisną się setki uczennic, tak obszerny lokal przy ulicy Urszulank, że obecnie mieści się tam Muzeum Pedagogiczne. Na każdym kursie bywa tu uczennic, kobiet dorosłych, około czterdziestu, pensjonarek, których nauka jak i utrzymanie jest bezpłatne, bo rząd, który w osobie ministra oświecenia Duruy, użyteczność zakładu tego rozumie, kosztą wszystkie ponosi.

I to nie dość jeszcze: minister żąda w r. 1867, w roku wielkiej wystawy, od tej kobiety, która jest przecież samouczkiem, wykładów publicznych i konferencji w Sorbonie, i ona je miewa przy wielkim natłoku osób, nie tylko wręcz interessowanych i nie tylko należących do stanu nauczycielskiego. Natura rzeczy każe jej się opierać tutaj na gruncie realnym; jak przecież umie z tem łączyć idee, uczucia szlachetnie, podniosłe, — dowodzi list, który z powodu tych konferencji napisał do niej Wiktor Hugo, nazywając jej pracę nad młodem pokoleniem Francji tak szlachetną jak piekłą, jak głęboko rozumną. „Rozwijając w duszach ludzkich wiarę w Boga przez myślące wpatrzenie się w Jego dzieła — oto cel, któryś pani założyła sobie“ — napisał, dodając, że gdyby wszystkie szkoły Francji były takimi, prawda zapanałaby nad kłamstwem.

Wśród wszystkich przeżyć, wstrząśnień, nieszczęść Francji, szkoła jej zdołała się utrzymać szczęśliwie, aż w 1874 r. jakieś intrygi partyi, oskarżającej ją o szerzenie idei przewrotu, spowodowały zamknięcie. Wprawdzie ją samą mianowano mimo to wizytatorką ochron paryżkich, ale brakowało jej tej pracy, którą ukochała — brakowało jej uczennic, w których umysły przelewała by pojęcia swoje kształcenia myśli dziecka, duchowej dziecka istoty, i w 1878 r. przerwała się nic tego użytecznego istnienia.

Zostawiła przecież po sobie Francji organizację ochron taką, że nazwać je można pierwszym szczeblem oświaty francuskiego ludu i jakimkolwiek jest tu obecnie kierunek polityczny, metoda jej rozwijania umysłu przez rozbudzenie uczucia, a kształcenie uczucia przez rozświecające wpływy umysłu, utrzymała się i oddziaływała dobroczynnie na duszę francuskiego ludu. Obecnie wyszło w Paryżu dzieło, przedstawiające obraz jej działalności wychowawczej. Autor, Emil Gosset, zamieścił na kartce pierwszej jako godło te wyrazy M-me de Maintenon: „Każdy, posługujący się dobrymi pojęciami, może wychować dziecko, które skończy lat dziesięć. Ale poprzednio najlepsze prawidła nie wystarczą. Trzeba tu tego geniuszu, którego braknie mężczyźnie“. Trzeba tu zatem kobiety: trzeba ciepła uczucia, trzeba objęcia, któreby umiało przytulać tkliwie i przelewać w ten sposób duszę swoją w pierś młodą. Acz na tej drodze można zejść daleko, nie tylko w kierunku uznania, ale i pożytku społeczeństwu swemu niesionego, dowodzi życie Maryi Pape-Corpen-tier, która tak małemi na pozór środkami, umiała zasłużyć się tak wysoko krajowi swojemu.

„Nie pomnik, który jej postawią, ale dobro, które zdziałała, uwieczni jej pamięć, bo uczucie, inteligencja raz rozbudzona w piersi kobiety, prze-

chodzi łańcuchem macierzyńskich wpływów z pokolenia w pokolenie.

M. Ilnicka.

FRYDERYK SZOPEN

Jako człowiek i artysta.

(Dalszy ciąg).

Było to wcieleniem nuty jego stron rodzinnych, którą on w pierś swoją miłością wzięł i z której tworzył, bo grała mu w sercu. I inni krytycy pisali mniej więcej to samo — wszyscy uznawali, że jest dusza jakiegoś żywego pierwiastku w tej muzyce, która nowe motywy do ogólnego skarbca sztuki powszechnej wnosi. Liszt daje, że najhucniejsze oklaski, jakie były dłonie wszystkich, nie były dostatecznym wyrazem tego, co unosiło słuchaczy, co zaczarowywało im duszę i porывało za sobą. Gra Szopena cudownie wspierała uwydatnienie myśli twórczej, cieniowała ją mistrzowsko, z delikatnością nieuchwytną przez żadne reguły sztuki, co uznawali narówni z Lisztem wszyscy sprawodawcy muzyczni Paryża. On to, naturalnie, czytał. Jak to odczuł i czy było to objawieniem mu tego, co inny pokrewny mu duchem i wyrazem twórczym, sztukmistrz poeta: Asnyk, wyraża przez wykrzyk przed Bogiem Stworzycielem: „Daleś mi moc nad sercami ludzi?“ — z wierną akuracnością twierdzić nikt teraz nie może, bo listy Szopena z Paryża do rodziców pisane, a które potem stały się własnością jego siostry, zostały nieszczęśliwym wypadkiem zniszczone. Karassowski czytał je przecież i twierdzi, że były one pomimo całego powodzenia, mimo wschodzącego już słońca jego sławy pełne melancholii — tęsknoty za tem, co poza sobą zostawił. — Najbliższym tej epoki jest list do przyjaciela, Wojciechowskiego, pisany pełny tęsknoty za czemś niepochwytym, za tem, co Niemcy „Weltschmerz“ zowią. „Ach! jakim ja pragnął mieć cię blisko siebie. — pisze. — Nie możesz sobie przedstawić jak to smutno jest nie mieć przy sobie nikogo, komuby ciężkie serce swoje otworzyć. Wiesz jak ja łatwo znajomości zawieram, jak towarzystwo ludzi lubię, z tej przyczyny mnóstwo znajomości robię, ale wobec nikogo, nikogo westchnąć tu nie mogę!...”

I dlatego szuka on często samotności, dlatego — jak pisze — są takie dnie, w których nie widuje nikogo. Lęka się, usłyszawszy dzwonek, że ktoś nudny przybywa go męczyć. I kiedyż się zobaczymy? — pyta żałośnie. Zdrowie jego jest w tak złym stanie, że przewiduje niedługi pobyt na ziemi, dręcząc go jakieś przeczucia, sny przykre, a często bezsensowne, które odejmują mu siły, chęć do życia i ogarnia go obojętność na wszystko. Ani żyć pragnie, ani śmierci pożąda. Czasami zdaje mu się, że serce w nim martwieje, i wtedy oblegają go myśli i obrazy ciężko bolesne, okrutne, a przecież przypisek do tego listu jest już zupełnie w innym tonie. Opisuje w nim wesołe awanturki kawalerskiego życia, jak jakaś sąsiadka przeze drzwi, chciała go sobie zdobyć, jak budził nieusprawiedliwioną zazdrość w pewnym podziłym muzyku, który się w swojej uczennicy kochał. Spotkanie z księciem Radziwiłłem sprawia, że wchodzi w wyższe koła towarzystwa paryżkiego. Bywa w pałacu Lambert, bywa w domu hrabiego Platara, zaczyna być znanym, lekcye zaczyna napływać. On nie umiałby być w stosunkach pieniężnych zabiegliwie chciwym, i w tym kierunku okazywał zawsze szlachetną na zysk obojętność; ale koła towarzyskie, w które go teraz wprowadzono, są zamożne i finanse jego są zawsze w stanie pożądane; lekcye, o które go na wszystkie strony proszą, dają zysk znaczny, bo godzina przynosi mu 20 franków. A serce jego teraz puste. Pierwsza, chłopięca niemal jego miłość nie wytrzymuje

próby oddalenia i owa ukochana, z którą rozdział tak serce mu krwawił, zdaje się zupełnie zapomnianą. Konstancja Gładkowska w 1832 r. porzuca karierę teatralną, idzie za męża, za kupca, Józefa Grabowskiego; ale on wiadomość tą już chłodno przyjmuje, już mu to serce nie rozrywa, nie krwawi go. Rok temu jeszcze wołał rozpacznie, że chciałby umrzeć, aby popioły jego zostały pod jej nogi rozsypane, ale uczucie to było wiosennym kwiatkiem jego serca—nie trwałym pierwszakiem, którego przeznaczeniem jest żyć krótko. Sztuka zabiera go teraz sobie w całości, a że układ jego jest salonowo arystokratyczny, że coś arystokratycznego jest w całym jego obejściu, a wynik to nietylko jego nawyków towarzyskich i stykania się z klasami towarzystwa wyższymi, ale jego własnego, wytwornego we wszystkim smaku, — koła te przyciągają go też do siebie, a on nawzajem łączy do nich. W liście do Wojciechowskiego pisze o tem, że obraca się w najwyższym towarzystwie książąt, ministrów, ambasadorów, nie wiedząc sam, jak do tego doszedł, bo, jak dumnie przed przyjacielem się tłumaczy, nie narzucał się nigdy nikomu. Dodaje też przytem, że i w artystycznych kołach francuzkich znajduje równie życzliwe usposobienie, że jest w nich przyjmowany przyjaźnie i z szacunkiem, że odbiera zewsząd dowody dobrego dla siebie usposobienia, bo często spotyka go ten zaszczyt, że ludzie używający wyższej już sławy w dziedzinie sztuki poświęcają mu swoje utwory, jakgdyby już był jakimś wyższym, skończonym artystą.

Chłubi się tak przed przyjacielem z jakąś naiwną, pełną prostoty dumą, która właśnie całą wewnętrzną jego skromność wykazuje. Śnażyć nie liczył na to, nie spodziewał się tego, i teraz doznaje przyjemności w pochwaleniu się do czego to doszedł, co powtarza się i pod względem stosunków jego z artystami francuzkimi, najwyżej już postawionymi przez talent i uznanie. Tylko kramarskiej arystokracji — arystokracji pieniężnej nie lubi i do stronników Ludwika Filipa bynajmniej nie łączy, co stanowi szlachetny rys jego charakteru, bo wziętość tu pozyskana mogłaby opłacać się najlepiej; ale piękna dusza artysty podnosi go ponad nędzę wyrachowań takich. Zbliży się przecież wyroczna godzina jego życia—i ta jasna, czysta, może przecież nie dość mocna, dusza ma się spotkać z okrutną próbą ognia, w której opalają się nieraz skrzydła poetów i takich jak on marzycieli.

Znajdował się on teraz w tej jasnej chwili poranku życia, którą nazwać można najpiękniejszym momentem w istnieniu człowieka i sztukmistrza. Ma już całą pełność natchnienia, całe samopoczucie artystycznej drogi swojej, a nie utracił jeszcze nic z tych uczuć młodości tkliwych i słodkich, z których życie obiera powoli — z tej młodszej naiwności grania na strunach własnego serca i dawania tego ludzom, jakgdyby to były rzeczy jakieś nowe i nieznane. Nowym i nieznanym był przecież ich wyraz, i to stanowi też cechę talentu: ta indywidualność silna, która z odciecznych motywów uczuć ludzkich stwarza rzeczy oryginalne, bo czerpie je z własnego serca i oświeśla blaskami własnej wyobraźni. Natura jego dobra isłodka, pogodna, przez usposobienie dla wszystkich życzliwe, potrzebowała mieć w koło siebie ludzi, z którymi wiązałyby go jakieś koleżeństwo serdeczne. Z koła artystów Liszt i francuzki muzyk Franchomme, należą do najbliższych jego stosunków w tej chwili czasu, a jakie tam panowało poufale, młodzieńcze usposobienie, maluje list, pisany do niemieckiego artysty Hillera, kształcącego się też w Paryżu, który dla interesów rodzinnych do kraju, zdaje się do Bawarii, wyjechał. Piszą go oba razem, Szopen i Liszt, wyrывая sobie pióro raz po raz i pisząc jeden o drugim. Szopen skarży się, że sam nie wie, co pisze, bo Liszt gra mu nad uchem jego mazurka a on chciałby mu wykraść umiejętność takiego grania utworów swoich. Dalej w końcu listu dodaje, że został on tak pokreślony przez Liszta, gdy ten poprawiał mu na własny sposób pojętą ortografią francuzką, iż nie wie: czy czytelnym będzie?

Jest tu przypisek o Heinym, równie żartobli-

wy, niemieckie jego słowa powtarzający i ta wesołość młodzieńcza sprawia bardzo miłe na czytelniku wrażenie, lecz nie jest to bynajmniej dokładne odbicie stanu ducha Szopena i ukazuje się tu tylko jedna, zewnętrzna, jeżeli tak się wyrazić można, strona jego istoty, jego usposobień. Niecki dopatrywał się, że tylko w listach pisanych nie do ziomek ukazuje się ta młodzieńcza wesołość Szopena. Nietylko wtedy, gdy pisze do Wojciechowskiego, lub Matuszyńskiego, ale w listach do Grzymały i innych, później poznanych, nie brzmi nigdy ta nuta lekkiej, niby wesoła na życie patrzącej, młodzieńczości. Liszt pisze, że gotów zawsze oddać ludziom wszystko, co miał, siebie samego nie dał nigdy nikomu, co jest właściwością wspólną wszystkim naturom silnie czującym, które doznają pewnego dumnego wstępu wobec takich obnażeń serdecznych i to, co nie jest uczuciem ogólnie ludzkim, ale osobiste naszym, nigdy się z piersi natur głębszych na wierzch nie wydstaje, chyba w chwilach takichże wzruszenia, wobec którego panowanie człowieka nad sobą ustaje już, przez silniejsze moce jego uczucia zwyciężone. Że miał Szopen racją być tak zamkniętym w sobie wobec tego, co było świętością uczuć jego własnych, wykaże się zaraz dowodnie na stosunkach jego z Lisztem właśnie, który dodaje, że nawet najbliżsi jego przyjaciele nie wciśnęli się nigdy w ten ostatni istoty jego przybytek, gdzie przez zewnętrzne życie nietknięty źródło jego ducha wytryskał w głębi tak starannie ukrytej, że istnienia jej domyślać się było tylko potrzeba. Tak się przedstawiał i innym. Enault, którego świadectwo Niecki z kolei przytacza, pisze, że tym, którzy chcieli jego charakter obserwować, wymykał się tak z silniejszego ujęcia, jak luską okryta syrena. Że nie chciał wszystkim, na drodze życia spotkanym ludziom, serca narozcień otwierać, że między stosunkami towarzyskimi przyjaciółmi, ziomekami, różnicę czynił, jest rzeczą tak prostą i naturalną, że dziwić się należy tym, którzy go tu rozumieć nie mogli i krzywdzili. Niecki sam przecież zauważył, że w listach do ziomek innym jest, niż wobec owych obcych ludzi, z którymi nie mogły go łączyć nietylko takie węzły uczucia, ale i drogi, wiodące do zrozumienia się wzajemnego, jak z tymi, których wszystko jednoczyło z nim: skłonności, uczucia, nawyknięcia wreszcie. Pisarz angielski okazuje się też tutaj tylko zbieraczem dobrym, brakuje mu zdolności głębszego wejrzenia w istotę ludzką i nie rozumie on tego, co Słowacki wyraża przez swój wykrzyknik dumnie smętny: „Z życia mojego poemat dla Boga“...

Nic on tu nie rozumie ostatecznie, tak jak i cały ten areopag, który się naśladu porywa. Enault, którego Niecki, przytacza, kładzie tym względem nacisk na narodowość artysty: „Słowianie—pisze—używają się ludziom, ale nie oddają, a Szopen, mimo swego pół-francuzkiego pochodzenia, był naturą silniej polską, niż Polacy czystej krwi.“ Był przede wszystkim naturą poetyczną, w wysokim stopniu uczuciową i delikatną, dlatego nie łatwo mógł być pojętym przez tych, którzy nie posiadali organów myśli i uczucia odpowiednich do zrozumienia takich organizacji. Liszt szczególnie okazuje się tu winnym—on tak blizkimi stosunkami zażyłości z Szopenem związany, on sam artysta przecież! Nie chcąc go oskarżyć o to, co Francuz nazywa „*jalousie du métier*“—trzeba się wrócić do różnic plemiennych, co i sam Liszt czyni również w sądach swoich o Szopenie. „U Słowian—pisze—pociągająca ich otwartość i prostota miła, łatwość obejścia się z ludźmi nie znaczą bynajmniej zaufania i oddania się serdecznego. Ich ujawniające się uczucia i te, które na dnie serca noszą, są jak pierścienie zwinętego węża i tylko przy bardzo bystrej uwadze dostrzedz można związek tych kółek między sobą.“ Występuje tu w sądzie tym nieprawdziwym Madziar, syn narodu hardo dumnego, natury pysznej i despotycznej, jak tego dowodzi ich obejście się ze Słowakami, którzy stanowią ludowy grunt Węgier. Dlatego nie rozumie tu nawet artysta natury Polaków i Słowian w ogóle—natury uczuciowej i delikatnej, mającej tę wrodzoną sobie ludzkość, która staje się w prostych nawet stosunkach ze znajomymi uprzej-

mością z pewną serdecznością przymieszką. Może ona być i jest często nietrwałą, powstającą pod pierwszym popędem, jak powtórzę, uczucia ludzkości, które każe nam zwracać się mniej więcej do każdego z pewnego rodzaju życzliwością. To wytworzyło i pewne formy towarzyskości naszej; nazwa: Panie bracie—dawana sobie wzajemnie przez cały stan szlachecki od wojewody do szlachcica zagonowego; przemawianie: „ojcze“, „matko“ do sędziwych ludzi, najniższego stanu, do żebraków nawet, to nie są węzły splety fałszu, ale jakaś skłonność dobroliwej człowieka dla człowieka przychylności, której butny Węgier nie rozumie. Grzeczność naszą w stosunkach z ludźmi, łatwość w obejściu się z nimi przy wyrobionych odpowiednio formach języka, uważa on za skutek naszych stosunków ze wschodem, co nawet nieznanomość historii wykazuje, bo stosunki te na wszystkich kręśach naszych były zawsze i nieustannie natury wojowniczej, odnośnie do Turków, jak i Tatarów, a nikt nie uczy się manier towarzyskich od nieprzyjaciół, z którymi spotyka się jedynie na polu walki. On Węgier, więc syn najbutniejszego, najhardziejego w Europie narodu, który wśród migracji ludów jest najpóźniejszym z Azji do Europy przybyłym, nie umie sobie tego wytłumaczyć przez delikatność, płynącą z uczucia ludzkości, a spotęgowaną jeszcze w Szopenie przez artystyczną jego organizację, i uważa to za fałszywość, za brak szczerości za udawanie, które wedle niego ma być u nas zdolnością ogólną, dającą nam przewagę rozumu nad sercem, w skutek czego mamy jakoby posiadać zdolność przemileczania prawdziwych uczuć naszych.

Żadna delikatniejsza, głębsza natura nie wystawia na pokaz, nie wynosi na targ światu, jak się Dickens wyraża, tego, co jako skarby uczucia w sercu nosi. Jest tak u wszystkich organizacji nieco już tkliwszych, poetyczniejszych—nieco głębszych, że te świętości swoje wierzeń, miłości i nadziei w przybytku najgłębszym istoty swojej zamyka i Szopen mimo stosunkowo pewnej koleżeńskości zażyłości z Lisztem nie miał żadnego obowiązku spowiedzi serdecznej przed nim czynić, a że nie był by zrozumianym, już dowodzą zarzuty, które mu ten stawia.

Muzyki jego, która już zaczęła wytwarzać szkołę, nie rozumiało również wielu. Field, którego krytyka ówczesna przeważała Szopenem, bez namietności, marzycielstwa, walk serdecznych i chorobliwości określał go jako „*un talent de chambre de malade*“; Auber powiedział o nim uczniom swoim, że umiera on całe życie: „*il se meurt toute sa vie*“—i mniej więcej wszyscy ówczesni muzycy tak jemu do serca, jak on im, mało przypadali. Liszt pisze, że ich towarzyskie stosunki z Szopenem, tylko rozwijały w nim naturalną skłonność do ironicznych uwag i dwuznacznych odpowiedzi; czy przecież można już po tem, co wiemy, uważać tego za prawdę? Liszt co najmniej nie rozumiał Szopena, tak jak on nie mógł przy swojej idealności, przy swoim sposobie odczuwania muzyki rozumieć i cenić wielu kompozytorów i wykonawców, posiadających przecież pewien rozgłos, pewną sławę nawet, która została im przyznana trwale. Różnice w odczuciu muzyki, w odczuciu poezji musiały te następstwa spowodować. Smak jego był bardzo wybredny i przynajmniej się też do zgodności z tem zdaniem Wiktora Hugo: „*Le goût c'est la raison du génie*.“ Przytem — dodaje Niecki wśród uwag nad tym pierwszym peryodem twórczości Szopena, który był zarazem peryodem ostatecznego ukonstytuowania się jego geniuszu—celem jego ambicji było, aby stał się w muzyce dla ziomek swoich tem, czem Uhland uczynił się poezji dla Niemców—rodzimej muzyki twórcą, twórcą jej szkoły.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg.)

O teścia spokojny Sacharko poszedł do Kończone, a Sydor, jak dzień, tak noc, pił z Chrynem w karczmie.

Wiedział i słyszał to Kalenik, ale, sprawy swej pewny, nie dbał. Do dworu co rana z Hucami szedł i czekał terminu.

Pewnego wieczora długo nie wracał. Przyjaciele już się trwożyć zaczęli, gdy nareszcie wszedł błąd, błotem pokryty i, do światła podstąpiwszy, na stół nóż z rzemykiem cisnął, a potem starą siermięgę i kozuch zrzucił i bok lewy odkrył.

Przecięta była odzież i koszula, a na żebrach szrama krwawa — i krew była na nożu.

— Zarznąć ciebie chcieli! — zawołał Huc.

— Ale! To Kiryk! Szedł ja — aż tu coś na moście do mnie z wierzby skoczyło — taj żgnęło w bok. Żebra nie puściły.

Pchnął ja jego od siebie jak zmore — to w rów buchnął, a ja nóż uchwycił.

Dobry nożyk — odtoczony jak brzytwa.

— Nie chodźże sam po nocy!

— Nu, niech-no mi się ten hycel pod rękę nawinie! — mruknął zjadły Karpina.

Kalenik nóż ze krwi otarł i widocznie cieszył się tym nabytkiem. Zaraz go też do pasa przytroczył i była to pierwsza rzecz cudza, którą sobie wziął — on — trus do kradzieży.

Tak tedy i Kiryk pracował razem ze starszymi nad utrzymaniem ziemi.

Ale tymczasem zabrakło Łucysi we dworze na robocie. Pierwszego dnia zaraz Kalenik to spotrzegł i spytał o nią sąsiadki.

— Nie zdrowa! Cości na żywot niedomagał — odpowiedziano.

Nazajutrz parobek poszukał jej znowu oczami. Gdy była, starali się pracować niedaleko od siebie, przy warczeniu młocarni w pyle, w znoju. Pomagali sobie wzajem!

Znowu jej brakło tego dnia.

Tknął go niepokój. Może znowu swaty przyszły i matka niewoli iść!

Wieczorem nawet o kwit się nie dopominał i pobiegł na zwiady.

Przeraził się, gdy wszedł do chatyny.

Dziewczyna leżała na matczynej pościeli, jęcząc żałośnie. Kilka bab ją otaczało — okadzały ją właśnie. Matka zawodziła, płacząc i łkając.

Parobek, widły w dłoni cisnąc stał skamieniały w progu. Zaczęły mu zęby szczebrać.

— Maty! — nieśmiało dostarej się odezwał: — Co jej takiego?

— Oj, sokołyku, nie będzie jej, nie będzie! Trzeci dzień do ust nic nie bierze — ni wody kropli — ni mleka. Z początku ino na żołądek się skarżyła: boli i boli!

Myślałam, że się zdzwignęła, słomę nosząc. Aż tu ją wymioty porwały, a potem czkawka i kurecze — i od tej chwili — w oczach ginie, jak ten robak się wije — i jednym głosem jęczy. Światła już trzeci dzień nie gaszę, na nogach trwam — a ona tak i gaśnie — gaśnie! Już ja widzę, że jej nie będzie. Niech baby co chcą mówią — tak i ona nie z tego już świata — nie po tej ziemi będzie chodziła! Taki nie, taki nie!

— Nie mówcie tak. Do doktora ją zawieźć! Nie umrze — matko — nie umrze — powiedź! Taki strach bił mu z oczu, że stare tej wiary jego uczyła się rozpacznie.

— Może ty prawdę lepszą wiesz! O Jezu, o Jezu! — zajęczała, siwą głową o ścianę bijąc. Baby znachorki skończyły swe zaklęcia i praktyki. Wychodziły milczące i skupione.

— Będzie „jednakowa“ (pozdrowieje)! — mruzczały, w kościste szpony biorąc zapłatę.

Teraz Kalenik o krok się zbliżył.

Dziewczyna ucichła, dymem odurzona i wyczerpana bólem. Szarą płachtą przykryta, zmalowała jak dziecko, z rękami odrzuconymi bezwładnie, była obrazem śmiertelnej nicości. Twarz jej miała jedną barwę ześniedziałego kruszczu, oczy podsiniałe, czarne usta i skurecz bezmiernego cierpienia w rysach. Rozplótł się jej warkocz, ale i to złoto już nie świeciło. Roztargane, wypłowiałe włosy poskręcał, zda się, ból, a pleśń osiadła. Kalenik o widły wsparty — patrzył.

Aż nagle ból ją znowu ocucił.

Zwinęła się, zadygotała i przeciągle zawyla nieludzkim głosem. Oczy rozwarły się bezmiernie, w kątach ust zabielała piana.

— Łucysiu! — jęknął parobek.

Spojrzała na niego i łzy jej się rzuciły do oczu i zalkała.

— Niema już mnie — niema! — wyszeptwała.

— Co tobie!

— Umrę, umrę! Idzie śmierć biała taj zimna — idzie!

— Nagle (bardzo) boli?

— Słowem nie powiedzieć. Ogień we mnie — gorycze — noże! Pójdę już — pójdę.

Znowu się wyprężyła i zwinęła konwulsyjnie, i dreszcze ją przebiegły, a jęk ze straszną czkawką się mieszał.

Przyskoczyła do niej matka, a parobek za głowę się porwał i uciekł.

Wpadł do Huców, jak wieher; w sieniach pod strzechą wynalazł lachmanek z ową złotówką jedyną, uchowaną przed łapczywością Sydora, i poprosił Maryi o flaszkę.

Kobieta spytała na co, a gdy jej tą nową swą troskę opowiedział, ofiarowała się z pomocą.

Poszli we dwoje. Kalenik wódki i kamfory kupił i odwiedzili chorą.

Spała. Babskie odwary działały chwilowo, stara nabrała dobrej myśli — uspokoił się i parobek. Poszeptali z Makuszą i, ufni w młode siły, wrócili.

Ale nazajutrz i dni następnych znowu jej we dworze nie było.

Dziewczyna i chłopcy poczęli się naśmiewać z troskliwości Kalenika: więc on już o nią i spytać się wstydził i zająć do chaty nie ośmielał, i żałości okazać się bał, byle na języki całej wsi się nie dostać.

A wreszcie trzeciego dnia, gdy już termin sądu na przyszłą Niedzielę był wyznaczony, a Hucenie odgrazali się strasznie, stary Huc umyślnie wyprawił go z transportem wódki do oddalonego magazynu, byle bratankom z oczu zszedł.

Powrócił w Sobotę. Nie śmiał o Łucysię spytać — więc sam pobiegł, opłotkami się czając.

Cicho było w chałupie. Makuszą siedziała u okna i szyla.

A szyla krasny, cienki andarak, a na stole leżała koszula nowa, sztywna, na ramionach wyszyta bogato.

Parobek na robotę tę popatrzał i nie nie rzekł.

A i stara, jakby go nie spostrzegła, monotonnym, nieswoim głosem mówiła:

— Nie szkoduję ja tobie, doniu, ni tkaniny, ni pracy. Ubiorę ja ciebie w najlepsze, najcieńsze. Niema po tobie komu brać, niema po tobie dla kogo chować! Naszykuję ci wszystko nowiutkie, czyściutkie.

Oddaje ja ciebie bałkom, taj didom na dziedzinę — bratu Michałkowi w opiekę — na kniahinę do kniaziów pójdiesz, detyno moja! Ni harować nie będziesz. Wiem ja, jak to szyc i jak te gody prawić — bo mi one nie pierwsze, ale już Bóg dał — ostatnie!

Gotowe twoje odzieże chędogie, za wszystkie weselnice twoja ruta na główce najdłużej ostanie. Świekra ci jej nie zdejmie, kos twych nie zapłota, wstążek nie rozdarujesz. Mołoduchą cię ustroję na wieki wieków.

Od pościeli cichy płacz zaszemrał i głos po- wolny.

— Cyt', maty, cyt! Nie mów tak! Nie chce się

umierać — lepiej ty mnie mocy zkać weź! Ja-by pożyć trochę chciała. Mnie tak zdaje się, że ja tylko jeden dzień pożyła — tak tylko minutkę, że i nie obejrzała się, jak minęło!

Kalenik się poruszył, więc spytała, — źle widząc w mroku październikowym.

— Kto tam stoi wedle progu?

Przystąpił do niej.

— To ty! Wyzierałam ja ciebie!

— W drodze był!

— A bacz — maty mówi, że mnie już nie będzie. Popatrz ty na mnie świeżemi oczami, może ja taki zostanę jeszcze na ziemi.

On długo popatrzał i począł głową kiwać.

— Ni — taki umrzesz — już w tobie żadnej kraski nie znać! — rzekł. — Chciałby ja, żeby ty ostała — ale nie ostaniesz. Bez pory pójdiesz, ale taki pójdiesz!

— Moja dola, moja dola! Musi to prawda, każdy tak mówi! Maty! — nie dawaj mnie andarak, bo ciężki — lepiej płócienną spodnicę włoż! Sokoliku — ni bał'ka ni brata niema. Położ ty mnie przykładzinę (nagrobek) taj niechaj kto piśmienny postawi na nim, że to Łucisiny pamiętnik.

Będzie ja leżeć, — leżeć!

Tu się w niego wpatrzyła smutnie i, zapadając w odrętwienie i nieprzytomność, poczęła szeptać w malignie:

Oj świt wstępuje,

Gwiazdy zajmuje:

Młody Kalenik na wóz już siada,

Swojej Łucysi dobranoc gada.

Makuszą zajączała rozpacznie, więc się dziewczyna przecknęła — i, zwracając się do Kalenika, poczęła prosić, widząc, że do wyjścia się zabiera.

— Posiedź trochę jeszcze. Mnie się zdaje, że za tobą mnie śmierć nie zobaczy!

Usiadł tedy opodal i, zwiesiwszy głowę, milczał. Po chwili w tej ciszy i coraz gęstniejącym mroku znowu majacząc zaczęła i ciągle jej to wesele, marzenie dziewcząt — po głowie się snuło.

— Rodź tobie, Boże, złotą pszenicę, rodź białe żyto! — szepiała, i ręką ruszała, jakby po kątach chaty męzowskiej ziarna sypała. A potem zgarnęła się i jakby do kolan padała.

Przestępuj, Łucysiu, twe nowe progi;

Upadnij teściom na obie nogi:

Teściowie, ojcowie, nie krzywdźcie mnie.

— Maty! — rzekł Kalenik — możeby ona jabłuszka chciała. Ja do dworu skoczę, i poproszę u pani.

— Skocz — sokoliku — czy ja już wiem.

Nie będzie jej nie będzie! — poczęła zawodzić stara!

On wyszedł, i zatoczył się parę razy, tak go ta troska z nóg waliła.

Do pani się dostał i o jabłko poprosił, zapominając o wstydzie i swej wrodzonej nieśmiałości.

— Dla kogoż to? — spytała pani.

— To Łucysia umiera, proszę pani! — wyjąkał.

— Cóż jej takiego!

— Bóg wie. Baby mówią, że uczyna!

— Naprawdę umiera?

— Ale.

— No, to zaprowadź-że mnie do niej.

Chłop do nóg pani padł i zapłakał.

Założono konia, i ruszyli. Pani wzięła z sobą leki różne i jabłek czerwonych. Noc już zapadła, gdy stanęli na miejscu. W izbie zaduch panował straszny, i upał. Przy świetle łuczywa obejrzała pani dziewczynę — rozpytała o szczegóły. W miarę badania, coraz się stawała surowszą jej twarz i marszczyło się czoło.

Widziała ona w swej praktyce długoletniej, dużo — dużo wypadków — widziała kryminały. I poznała, że dziewczyna przeszła zapalenie okropne kiszek, i że ratunku nie było żadnego — bo teraz toczyła ją gangrena.

Zgubiona była — na godziny liczyła się agonia. Nie trzeba było leków. Popatrzała pani na tę chatę sierocą, na te stroje trumienne, na tę ma-

tkę, na parobka, i nie potrafiła im kłamliwej otuchy mówić.

— Wola Boża!—szepnęła.

Potem do Łucysi się zwróciła. Coraz mniej pamiętna, coraz mniej bólów czująca, leżała już cicho. Zpod grubej koszuli pierś jej widać było—trochę siną, a z twarzy tylko oczy żyły jedne—a taka chuda była, że nie więcej trzaska zajmuje miejsca, niż to ciało—przed niedawnym czasem młode, zdrowe, piękne.

— Zkąd jej to przyszło? Zjadła co niezdrowego—zerwała się? Jakże wam, Makuszanko, było jej nie pilnować, i prędzej mi znać niedać!

— Pilnowała ja jej, pani jasna—jak to jajko malowane. Nie było nad nią bielszej, taj lepszej w siole całym. Cóż ona—dobytek mój, pole moje, bogactwa moje!

Pilnowała ja jej. A co moje pilnowanie pomoże—na oczy złe, na moce złe!

Nie umorzył mnie Bóg w mojej biedzie—kiedym sama została—ino mi znak dał, że te bogactwa moje, te dwoje dzieciąt moich—pożyczzone tylko—do czasu.

Było tak, że mi sen przyszedł—jakobym, po lecie czystym chodząc, grzybki brała. A nazbierawszy fartuch pełen, poczęłam je na grzędach sadzić—a grzędy na Kniżiach były. A wysadziwszy—do domu idę, aż patrzę w fartuchu jeszcze jeden ostał taki malutki;—tak się zawróciłam do tej grzędy, żeby i tego przy tamtych zostawić—i zasadziłam go—na końcu.

Mówiłam ja sen babom—a one rzeką: Nie dohodujesz się ty dziełek—nie dohodujesz. A ot—posadziłam Michałka, a ot i tę na grzędę zaniosę—taj na końcu wetknę. Białutkie moje działki, cichutkie, czyściutkie ino—że pożyczzone—do czasu—aż je złe moce weźmą!

— Jakie złe moce?—zagadnęła pani.

— Nie z dobrogoż dziwa to na nią przyszło. Uczynił ktoś! Zajrzeli krasy jej, czystości jej—taj zrobili—żeby nie była.

Widziała ja takie rzeczy!

— Któż zrobił?—badala pani.

— Naco nam wiedzieć? Sądzenie Boże jego nie minie!—ponuro rzekła baba.

Pani popatrzała raz jeszcze na Łucysię.

— Teraz wy prawdę zgadliście, Makuszanko! Wasze dziecko ktoś otruli! Na to nie trzeba sądu Bożego czekać—na to sąd ludzki być musi!

Kobieta rzuciła się i stanęła między panią i Łucysią.

— Nie dam jej kroić, nie dam tknąć!—krzyknęła. Nie chcę ja sądu—ni doktora. Nie powiem nic—i nikomu mówić nie dam! Moja detyna—moja! Niech ją śmierć bierze—niech ją ziemia bierze.

Taki strach i dzikość błysnęły z jej oczu łzami wyżartych, że pani zrozumiała nieprzeparty opór, i niepodobieństwo rozjaśnienia tajemnicy.

Cała wieś stanie za nią, przeciw śledztwu na zwłokach. Krzywoprzysięgać będą, byle nie ruszono umarłego—wszyscy osłonią winowajcę—zatrą ślady!

Nawet Kalenik się ozwał:

— Nie damy jej ruszyć! A toby jej w mogile nie było spokoju! Toćby ona nam nie dawała swego wstydu!

A matka zasłaniała ją ramiony, zmieniona strachem i ohydą.

— Nikt jej nie zagabał (ruszał) i zagabać nie będzie! Swoją śmiercią umarła!

A Łucysia leżała cicha, i na szarej płachcie ją przykrywającej leżały jabłka czerwone. Wtem ją znowu maligna porwała. Zdało się jej, że z wiankiem dożynkowym do dworu idzie—przodownica uznojona:

Związali my snopy, postawili kopy
Zabrali pszenice, taj i żyto jare
Do dom już idziemy, niosąc ci ofiarę!

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOROTYŃSKI LITERAT.

PRZYPOMNIENIE.

(Dokończenie).

W książce zbiorowej dla Wójcieckiego w r. 1862 daje znowu Korotyński wyraz najusilniejszemu ze społecznych uczuć swoich: żalości nad upośledzeniem ludu (*Dwie niwy*); w drugiej lirycie: *Na rozdrożu*, brzmi nuta pokrewna *Pieśni wdowie*. Człowiek XIX w. znalazł się na rozdrożu materializmu i będzie musiał: albo *uleść prawu ciężenia*, albo też *ziemię popchnąć do nieba*. Ta troska o przyszłość tellurycznego ogromu będzie miała już odtąd częste obcowanie z myślami Korotyńskiego. Niezawsze spokojnie, niezawsze szczęśliwie, ale zawsze uczciwie, bez sobkowstwa swego umysłowego *ja*, w walce z nowymi prądami—walce czysto-dziennikarskiej, podjazdowej—jeden miał tylko cel, bronić dusze od fatalizmu owego prawa ciężenia. Właśnie w tym czasie, kiedy się Korotyński przenoślił do Warszawy, prądy kosmopolityczne i materialistyczne zagroziły społeczeństwu zawiąaniem, paraliżem. Otworzyło się rozległe pole walki. Korotyńskiemu brakło do niej wykształcenia filozoficznego; ale gdyby nawet je miał, niewiele mógłby z niem dokazać wobec przyjętej przez starą prasę taktyki: drwin, ciężkich oskarżeń lub milczenia. W jednym tylko podówczas (r. 1872) organie w wybrzydzeniach młodych widziano „zabkowanie rozumu“ i odważono się rzecz nazwać po imieniu.

Jeszcze podczas pobytu w Wilnie ukazała się w *Kuryerze* i w osobnym odbiciu rozprawa Korotyńskiego o *Salomonie Rysińskim*, oparta na dokumentach otrzymanych od Mikołaja Malinowskiego. Dwa listy o śmierci autora *Przypowieści* ustalają tu niewzruszenie datę wypadku, przez Andrzeja Węgierskiego zepsutą. Przy takim przedmiocie, do którego wpływa protestantyzm, niezbędnym zawsze przymiotem piszącego jest niepodległość umysłu: miał ją wówczas Korotyński, a kto go o zaprzale wstecznicstwo posądzał, temu mógł rzucić do oczu zakończenie rozprawy, utyskujące nad zatarciem wszelkich śladów protestantyzmu w Lubczu. O działalności pisarza mówi Korotyński krytycznie i dobrze. Dziś jeszcze rozprawkę jego, chociażby tylko dla biografii, znać potrzeba, a jest w niej nadto jeszcze i koloryt wieku i żywe technienie radiwilłowszczyzny.

Wezwany na stałego współpracownika „Gazety Warszawskiej“ przeniósł się Korotyński na samym początku r. 1866-go do Warszawy. Odtąd codzienna praca dziennikarska, w uciążliwych jeszcze warunkach spełniana, zajęła dla siebie siły do czegoś lepszego przeznaczone. Jakim nienasyconym, legendowym smokiem jest dziennikarstwo, wiedzą o tem tylko ci, których mu życie na pastwę wydało. Publiczność naiwnie nazywająca nawet reporterów literatami, nie wie, że dziennikarz, jeżeli jest rozumny, ledwie częstkę rozumowej treści swojej może w pracy dziennikarskiej wcielać, a z wiedzy porządnej, jeżeli skorzystać zechce, to mu ją niechętnie przyjmą—przekładając nad nią encyklopedyczną, która poważne znaczenie może mieć tylko przez to, że nadaje umysłowi jakby obywatelstwo w świecie wszech zjawisk i faktów, pozwala mu się oryentować, chroni go od błędów, wytykając raczej ujemne niż dodatnie granice temu, co człowiek przedtem już mieć w sobie musi na rzetelną swą własność. W takim znaczeniu pojmował encyklopedyczność Lessing, jej obrońca; ale tak jej nie pojmują ani czytelnicy ani redaktorowie. Nie zapomnę nigdy słów usłyszanych przed dwudziestu już przeszło laty: „Dziennikarz powinien umieć napisać o wszystkim“—a więc o Bogu i o brogu, o cudzie i o grudzie! Dla takiego Korotyńskiego to ciężki wyrok. Przybywał on do War-

szawy już z pięknym dorobkiem wiedzy literackiej, znał wiele książek starych, starszych i najstarszych, nie tylko z okładek i stronice;—dalsza praca w tym kierunku byłaby pogłębiła i rozszerzyła wiedzę, dozwoliła jej biegiem prędkości nabytej, zbliżyć się coraz prędzej do względnej choćby pełności; zaostriłyby sąd, ustaliła porządek w wiadomościach, usystematyzowała wiedzę—zdolności, jako siły jeszcze niezeszrodkowane, zamieniłyby w jasny, błyszczący talent. My wszyscy, którzyśmy kiedyś może w sobie coś mieli, rozmieniliśmy to coś na szybko śniedzące, dziś już zaś śniedziałe, trojaki, a tylko przywiązaniu do wyższej sfery myśli i działalności, tylko tęsknocie do tego ideału samodzielnej pracy zawdzięczamy to, żeśmy w cześć światła dotrwali. Każdy utrzymał się tylko tem, czego dziennikarstwu na pastwę nie wydał.

W takich warunkach ogólnie gnębiących rozpoczynał dwudziesto-pięcioletnią pracę swoją w dziennikarstwie W. Korotyński. Mówię tu o niej nie mam zamiaru; obchodzi mnie tylko to, czego w zakresie literackim dokonał. Były tam rzeczy większe i mniejsze, ale jakiekolwiek były, zawsze nosiły na sobie znamie dodatnie pracy gruntownej w treści, porządnej w układzie, poprawnej i ujmującej w wysłowieniu. Mało było pomiędzy nami piszących tak dobrze, jak on, po polsku, umiających przytem pisać tak zajmująco, chociaż nie na modłę felietonu lub powiastki. Niepokalana czystość jego języka zasługuje już sama przez się na pamięć ludzką, a obok niej stał styl zawsze jasny, spokojny, w miarę wypukły, w miarę też gorący, bez wielkich antytez i błysków, i jaskrawości kolorytu; ale też i nie woda, ani nie stolarszczyzna—z referatów biurowych zapożyczana. Pod słowem czuleś człowieka, umysłowość i uczuciowość jego odgadawałeś. Gdyby był większe prace po sobie zostawił, historya literatury musiałaby go ze względu tylko na język i styl zaliczyć do rzędu najlepszych pisarzy współczesnych. Tak jest—i żadna najwyższej nawet ceniona powaga literacka nieczego w tem, co tu powiedziano, nie wzruszy.

Zaraz po przybyciu Korotyńskiego do Warszawy zjednała sobie jego pióro wielka *Encyklopedia Orgelbranda*: potrzebowała artykułów o tej prowincji, z której właśnie przybywał. Rozpoczęła się to współpracownictwo nieboszczyka w T. XXIV, ustaje na ostatnim wyrazie dzieła: *Żyżmory*. Kapitałny jest artykuł *Wilno*, zajmujący dwadzieścia cztery karty w T. XXVII; z innych wymienić można *Witebsk*, *Włodzimierskie księstwo*, *Wołyńskie województwo*.

W r. 1867, dostawszy do rąk dzieła Alhazena i Ciołka o optyce w wydaniu Riesnera (Bazylea, 1572), Korotyński sprostował podania Sołtykowskiego, X. Bystrzyckiego i Wiszniewskiego o Vitellionie, oczyścił je z naleciałości zasłaniających istotne rysy biograficzne człowieka, wykazał głupstwo rysnerowskiego *Turingo-polonus*, i ostatecznie w przekonujący sposób wywiódł właściwą narodowość uczonego z samego tekstu dzieła. Przytoczone wyjątki z rozdziału X-go wskazują, że cały ten rozdział musiał nasz Ciołek pisać w Krakowie. Przeciwno tekstowi żadne niedowiarstwo nie poradzi i krytyka naukowo-przyrodnicza u nas miała prawo przesiewać tylko to, co Korotyński, bez żadnej zresztą stanowczości, powiedział o stosunku Ciołka do Alhazena. Rozprawka wydrukowana pierwotkowo w *Gazecie Warszawskiej* wyszła potem w osobnym odbiciu (str. 1—18 12-o oblongo).

Na wyrwanie z niepamięci, w jaką dziennikarstwo, żyjące tylko dniem dzisiejszym, skazywać musi własne swoje *wczoraj*, zasługuje *Życiorys Ignacego Domejki*, z powodu jego przyjazdu do kraju zamieszczony w pięciu numerach *Kłosów* z r. 1877 (Tom XXV). Tożsamo i w wyższym jeszcze stopniu należy się *Rodzinie Lelewełów* w *Tygodniku powszechnym* z r. 1882 (str. 774, 790, 812, 820 i 844 sq.). Nic gruntowniejszego o Lelewełach nie mamy. Podstawą były tu dokumenta i świadectwa złożone przez Protę, z którym Korotyński w zażyłości zostawał. Sumiennie temu studium dodaje wagi list Zofii Węgierskiej—niepospolitego a tak prędko zapomnianego pióra—o pogrzebie historyka.

Zbrakłoby mi tu miejsca, gdybym chciał wylizować wszystkie drobne prace literackie okolicznościowe i samoistne Korotyńskiego. Ciągnęły się one jednym nieprzerwanym, choć dla oka dziś już niewidzialnym, pasmem. Nie dziennikarską pracą jest *Życiorys Karpińskiego w Wieńcu* 1872, ani też obszerny *życiorys Zygmunta Kaczkowskiego* w XI tomie (str. 319—283) jego powieści wydania ungrowskiego (1875); niedziennikarską także *Kraszewski jako poeta* w książce jubileuszowej (1879). *Tygodnik powszechny* (4), a po nim *ilustrowany* zawiera wiele drobnych wspomnień historycznych i życiorysów z trwalszą nawet wartością. Do rzędu takich zaliczam *biografię Wolskiego*, choć z konieczności nie pełną (r. 1882), dalej artykuł na uczenie pięćdziesiątej rocznicy pierwszego wydania *Pana Tadeusza*, w N. 10 *Tyg. powszechnego* z r. 1885 zamieszczony. Wzbogacił Korotyński to wspomnienie dwiema nowymi mapkami: owej właśnie Troady, oraz kampanii Dwunastego Roku.

Na pospolite ruszenie piór w wydawnictwach okolicznościowych stawał zawsze z jakąś sentencją wierszowaną, godną odczytania. Tak np. w albumie na pogorzelców Grodna spotkaliśmy sześć zwrotek dwuwierszowych, plastycznie oddających myśl, że wszelki czyn szczerzy potrzebuje ciszy:

Gdy wielkie dzieło zbudować chcesz,
Z wielkiej przyrody naukę bierz:
Cicho tlen skały zamienia w pył,
By grunt z niej pszenicy dla ziemi był;
Cicho śle równik zdroj ciepłych wód,
By łagodziły bieguna chłód;
Cicho przebiega słoneczna treść,
By blask i życie dokoła nieść.
Cicho się cały obraca świat
W krąg pierworóżdła miary i lat; —
Patrz na przyrodę, jak ona rób:
Rozmyślaj, pracuj i milcz jak grób.

Jest nieraz rzetelna „Gedankenpoesie“ w tych niewielkich, odręcznych lirykach Korotyńskiego. Tak np. *Napomnienie* w obronie zwierzęcia od srogości ludzkiej, zamyka pięknie wyrażoną myśl: „Odródcie serca — świat się odrodzi.“ Najzupełniejsza prawda. Dwudziestopięcioletnią wędrówkę swoją po puszczech rozumu, kończą dziś owi niegdyś młodzi z wyłomów — także na wyłomie, ale już nie na tymsamym, na którym jeszcze jako rekruci filozofii, bronili praw powszechnego postępu, niezawodzącego nigdy światła i krytyki bezwzględnej. Niejeden z nich szczerze spowiada się sobie i innym z rozczarowania; niejeden spostrzega, że sam rozum łaknącego nie nakarmi, nagiego nie przyodzieje, smutnego nie pocieszy, skrzywdzonemu nie zwróci tego, co mu wydarto; niejedenmu tensam rozum, na który niegdyś przysięgał jako na jedynego tylko Boga, mówi, że dawniejsze hasło „wiedza to potęga“ — potrzeba uzupełnić innem: „uczucie to potęga“ i że właściwie przez nie dopiero rozum dla życia przeznaczony potęgą rzetelną się staje. Nie miałem większej przyjemności duchowej nad tę, jak kiedy niedawno jeden z najpiękniejszych niegdyś bojowników zastępu odmładzającego społeczeństwo jednostronnie przez wiedzę, z żarem głębokiego przekonania, z wymową niepospolitego talentu, jakim go Opatrzność obdarzyła, bronił w obecności mojej praw uczucia, jako istotnego twórcy życia. Co się stało? czy jest tu wyrzeczenie się czegokolwiek, co miało w sobie rdzennosć rozumu, co było rzetelnym jego ideałem — gwiazdą, nie świeczką, którą dowolnie zapalać i gasić można? Nie. Tylko normalny proces ducha, nietałmowany sofizmatami, doprowadził umysł do złączenia obu potęg w jedną syntezę.

Jako wydawca literacki, czyli właściwy wydawca, Korotyński był nieustannie czynnym. Od początku swego pobytu w Warszawie czuwał nad poprawnością literacką i rzeczową *Kroniki*

Rodzinnej. Przyjaźń narzuciła mu miły obowiązek wydania *Dzieł Syrokomli* z obszerną przedmową. *Listy z podróży* Odyńca przeszły ostatecznie przez jego redakcję. On również był wydawcą rzeczywistym jednego ciągu *listów Zygmunta Krasiewskiego*. W wydawnictwie *Muzeum Konstantego Świdzińskiego* tomy II, IV i VIII jego głównie stanęły pracą. D-r Ignacy Janicki, przyrodnik, fizyki podobno matematyk, o pomoc do Korotyńskiego chętnie się uciekał. Umiejętna korekta *Giulistanu* E. Otwinowskiego przedmowa i słowniczek archaizmów; dopilnowanie tekstu i przedmowa do francuskiego wydania „Pamiętników“ Duponta; przekład trzech dokumentów do dziejów gospodarstwa ziemianckiego przy *Kalendarzu Jana Ostroroga z XVII wieku*, również z wykazem wyrazów dziś niełatwo zrozumiałych — są owocem pracy Korotyńskiego. Do pomnikowego wydania *Dzieł Jana Kochanowskiego* niestrudzony człowiek dał objaśnienie partyt szachów przy odpowiednim poemacie. Wiele jeszcze innych robót jak przekłady, jak wydawnictwa dla młodzieży wiąże się z jego nazwiskiem. Zapewne, nie są to wszystko rzeczy wielkie, ale są rzeczy porządne i poczytne a sama już ich ustawiczność dowodzi, że dziennikarz nie zdołał nigdy stłumić w Korotyńskim literata. Lepsza część istoty pisarskiej trwała w ciągłym buncie przeciwko mocom poziomym — i ten bunt właśnie ją ocalił. Ale przemoc była już zbyt wielką na to, aby duch odczuwający swe powołanie mógł je odpowiednio do sił i skłonności swoich spełnić.

Stanisław Krzemiński.

KOBIETA W AMERYCE.

(Ciąg dalszy patrz Nr. 11).

Kiedy młodej miss sprzykrzy się już tańczyć, wiosłować, jeździć konno, grać w krokieta i *lawn-tennis*, wtedy zwykle, dla odmiany, zaczyna się kochać, i odrazu z trzpiota zmienia się w poważną kobietę. Dopóki nie uczyni wyboru, młodzież może jej asystować, ofiarować kwiaty, prezenta i prowadzić z nią długie rozmowy na osobności. To wszystko jest przyjęte przez obyczaje miejscowe; nie razi nikogo, i nie zobowiązuje do niczego zgoła, dopóki wyznaczenie: „kocham cię“ nie przejdzie przez usta. Młodzieniec w ostatniej chwili może jeszcze honorowo wycofać się i zerwać znajomość z dziewczęciem, którego serce podbił i unieszczęśliwił może na całe życie; gdy jednak raz wyrzekł magiczne słowo, panna idzie zwierzyć się z tem matce, a młodzieniec udaje się do ojca narzeczonej, nietyle po to, aby go prosić o rękę córki, ile, żeby go zawiadomić o zapadłym postanowieniu. Przyszły teść, czy to biedny, czy bogaty, odpowiada mu na to zawsze jedno i to samo: „Nie mam nic przeciw temu, jeżeli moja córka się zgadza, i jeżeli możesz jej byt zapewnić“. Nawet jeżeli rodzice nie są zadowoleni z wyboru córki, nie wstrzymuje to wcale małżeństwa. Córka milionera, zakochawszy się w ubogim przemysłowcu, poślubia go, opuszcza dom i rodzinę, przenosi się do *boarding'u*, albo też udaje się z mężem razem na krańce Far Westu, i wesoło a ochoczo znosi niedostatek i braki wygód, do których nawykła w zamożnym rodzicielskim domu. Staje się ona towarzyszką i współpracowniczką męża, któremu pomaga wspinać się po drabinie społecznej.

Młode panny nie otrzymują nigdy żadnego posagu w Ameryce. Narzeczonej obraziłby się nawet, gdyby mu zaproponowano jakieś wiano za

zoną, bo toby wyglądało tak, jakby sam nie mógł jej utrzymania zapewnić, a przytem chce, aby żona wszystkie swoje wygody i dostatki życia jemu tylko zawdzięczała.

Zostawszy raz mężatką, młoda miss zmienia cały swój dotychczasowy sposób obejścia się. Z nawyknień młodości zachowuje tylko dawny pociąg do czytania. W tym celu organizuje kluby mające za główny cel i zadanie, obznajmienie kobiet z najnowszymi płodami literatury. Każda ze stowarzyszonych płaci kwartalnie 50 franków lektorce, która ma obowiązek co tydzień w obecności tych wykształconych kobiet odbyć rodzaj prelekcji, a w niej wymienia, rozbiiera i krytykuje najnowsze wydawnictwa.

Kiedy mowa o kobiecie amerykańskiej, zwłaszcza o matce, która powołana jest do tak wielkiej funkcji w społeczeństwie, mimowoli nasuwa się pytanie: jaką rolę serce odgrywa w jej życiu? Odpowiedź na to nie łatwa. Zapewne, że serce objawia się niekiedy, bądź u siostry miłośdzia, bądź u filantropki oddanej miłosiernym dziełom, ale zachodzi obawa, aby wszystkie skarby uczuciowości złożone przez Boga i naturę w duszy niewieściej, nie stały się w końcu wybrakowanym, zbyt długo nie zbywanym, zleżałym towarem. Jeżeli serce istnieje w organizmie społecznym Nowej Ameryki, to w każdym razie zajmuje ono tam podrzędne miejsce. Głowa jest wszystkim. Syn, na przykład, posiada pewne wrodzone przywiązanie do ojca i w danym razie przyszedłby mu w pomoc; ale dzieckiem widywał go tak mało, że nie mógł pokochać go synowską, gorącą miłością. Za ledwie wyrósł z dzieciennych lat, oddano go na praktykę; potem losy zapędziły go o jakie setki mil od rodzicielskiego domu, a rozluźnione stosunki rodzinne ograniczyły się odtąd na wzajemnem donoszeniu sobie o zaszłej śmierci lub małżeństwie. Interessa pieniężne zbliżały niekiedy do siebie rozprzeczonych po świecie członków rodziny, ale w tych warunkach, nie mógł się nigdy wyrodzić stosunek serdeczny. To też słyszałam raz młodzieńca mówiącego do brata: — Chodź zemną. Ojciec od tygodnia bawi w Grand Hotelu. Wypada nam złożyć mu wizytę.

— A brat odpowiada mu na to: — Zapewne; należy się *staremu* ta grzeczność; ale powiedz mi, po co ja tam pójde i co ja będę z nim gadał?

Tableau!

Konwenanse światowe! Jak one sobie nic z nich nie robią, te ładne, wesołe, trzpiotowate Amerykanki! Jak się wysmiewają z tych wszystkich form, błahostek, sprzeczności...

To są królowe, przed którymi każdy hołd składa. Nie uznają też innego prawa nad swoją fantazją i kaprysy.

Napoleon powiedział raz do pani de Rémusat: — „Nie lubię tego nieokreślonego wyrażenia *konwenanse*, które każdy przytacza co chwila. Jest to wymysł głupców, aby się zbliżyć pozorami do ludzi rozumnych; rodzaj knebla i wędzidła społecznego, który kępuje silnych a pomaga słabym. Być może, iż wygodnie jest z konwenansami tym, którzy nie mają żadnego ważniejszego zadania przed sobą; ale ja nie mogę liczyć się z tem, co wypada, a co nie wypada.“

Amerykanie, którzy nie są głupcami i mają ważne zadanie przed sobą, podzielają w zupełności pogląd Napoleona. Nie biorą wcale w obrachunek tego, co według kodexu światowego: *wypada* lub *nie wypada*....

W Anglii towarzystwo pozwala na dziwactwa i excentryczności wszelkiego rodzaju ludziom wybitnego umysłu i stanowiska; ale dla ogółu śmiertelników jest nieubłagane pod względem etykiety światowej.

W Nowym Świecie nie nie kępuje inicjatywy osobistej, bądź w dobrym, bądź w złym kierunku. Amerykanka moralnie zdrowa na umyśle i duchu jest szlachetną istotą, która nie zaprzęta sobie bynajmniej głowy konwenansami i nie dba nic o sądy ludzkie. W każdym położeniu umie nakazać innym szacunek dla siebie, i bez względu na majątkowe lub społeczne stanowisko zawiązuje stosunki zażyłe z tymi, w których czuje wspólność gustów, poglądów i charakteru.

(4) Pisywał tu pod pseudonimem „Borzywój“.

(5) Korotyński przerabiał Robinsona, przystosował do potrzeb miejscowych książki wydane p. t. „Na kolach babuni“, „Wieczory wróżki“. Jego *Zwierzęta mówiące* wierszami do dzieci znalazły tak wielkie powodzenie, że sam nakładca, podejmując drugie wydanie, nie miał już w księgarni swej ani jednego egzemplarza.

Najuboższa dziewczyna wie, że może poślubić najbogatszego potentata: — pierwszy lepszy emigrant wie, że może dojść do największych dostojenstw i zaszczytów w kraju.

Oto, jak w Ameryce pojmują równość, prawdziwą i dobrze zrozumianą równość wobec prawa i społeczeństwa.

Nie wszyscy są pierwszymi w kraju, ale każdy wie, iż zdolnością osobistą i zaletami umysłu i charakteru może wybić się na pierwsze miejsce. Każdy też dąży do tego, nie tracąc daremnie czasu na krytykowanie drugich, i każdy odsuwa się od tego, kto nie postępuje zgodnie z zasadami honoru. Honor u kobiet jest synonimem cnoty, u mężczyzn zasadą się on na prawości i uczciwości kupieckiej; ale kodex konwenansów światowych, tak jak my go pojmujemy w Europie, nie istnieje wcale w Stanach Zjednoczonych. Kobieta może czynić co jej się podoba, chodzić gdzie chce; nikt się nie troszczy ani zajmuje tem, co ona robi. Wszystko jest jej dozwolone, i nie potrzebuje się niczego obawiać bo zostaje pod opieką praw, które strzegą jej honoru równie zazdrośnie, jak własna jej godność osobista.

Nie kodex światowy, ale kodex prawny amerykański, nieublagany w swojej surowości, strzeże kobietę od natarczywości męskiej galanterii i, biorąc w obronę pleć słabą, skazuje na karę pieniężną lub więzienie każdego, kto ośmielił się uchybić jej w czemkolwiek.

Nie dziw, że niedoświadczony Europejczyk, złudzony pozorami emancypacji kobiet amerykańskich, usiłuje niekiedy nadużyć swobody długich sam-na-sam z młodą panną, która wdaje się z nim w rozmowę na osobności, lub odbywa z nim dalekie wycieczki poza miasto. Lecz niechże tylko zuchwalec ośmielił się przekroczyć granice dozwolonej poufałości, przekona się na jak srogi naraził się zawód: albo zostanie haniebnie wypędzonym z domu, albo, jeżeli natrafił na pospolitą naturę kobietę, zaciągnięciem zostanie przed trybunały które go zmuszą do zapłacenia kary w kwocie stanowiącej niekiedy prawdziwy posag dla strony poszkodowanej.

I tak, kilka lat temu, pomimo protekcji jednego z zagranicznych ministrów, który chciałby był sprawę przenieść na grunt międzynarodowy, pewien milioner z Południowej Ameryki, pan X*** musiał zapłacić dwakroć stotysięcy franków *odczepnego* młodej dziewczynie, którą syn jego wprowadził w błąd co do zamiarów swoich matrymonialnych. Jako dowód świadczący przeciw nieroztropnemu młodzieńcowi przytoczono fakt, że raz w hotelowej księdze przyjezdnych zapisał swą bohdankę pod swoim rodowym nazwiskiem, jako panią X***.

Ten jeden fakt starczyłby w niektórych stanach związkowych do uznania małżeństwa za legalne.

Biedny wyrostek daremnie protestował, że zrobił to tylko *na żart*, i że już nigdy nie dopuści się niczego podobnego. Ojciec wolał zapłacić żadaną sumę, niż narazić się na następstwa jeszcze groźniejsze.

Wobec takich praw mężczyźni nie są skorzy do zapominania o szacunku przynależnym kobietom; a jeżeli się to zdarza niekiedy, to chyba wtedy, gdy są do tego upoważnieni przez nie sami.

Opieka prawa rozciąga się nad kobietami zawsze i wszędzie, wprowadzie niektóre z nich nadużywają stronności sędziów, aby wyzyskać półgłówków i awanturników, ale trzeba przyznać, że nieograniczona swoboda, jakiej używają, wymaga aby zabezpieczone zostały przed niebezpieczeństwami.

Zalotność ładnych Amerykanek, złociste loczki, wijące się nad ich otwartem czołem, śmiałe spojrzenia i dolary, które trwonią na stroje i gałganki, nie dowodzą jeszcze, aby te kobiety miały być płochemi i lekkomyślnymi. Niechaj sobie Europejczycy szdzą, ile chcą, z ich emancypacji, nie przyniesie to żadnej ujmę ich cnoty i nie zachwieje ufności, jaką w nich pokładają współziomkowie. Amerykanki prawdziwie wyższe umysłem, śmieją się z naszych przestarzałych konwenansów i nie wiele dbają o naszą opinię. Nikt nie wtajemniczył ich w zawile tajemnice konwencyonalnych

praw starego świata. Nie mogą one też zgłębiać: dlaczego ubogiej francuzkiej lub polskiej dziewczynie *wypada* biegać samej za lekcyami, a bogatej *nie wypada* uczynić kroku, bez towarzysztwa drugiej osoby. Nikt dotąd nie zdołał im wytłumaczyć: dlaczego paniencie dobrze wychowanej *niewolno* jest wziąć romansu do ręki, a młodej mężatce, nazajutrz po ślubie *wolno* jest widzieć i słyszeć wszystko, bez obawy, aby to skaziło czystość jej sumienia i jadłem zepsucia zaraziło serce?

Jeżeli niekiedy Amerykanki, ulegając pokusie tytułu i rozgłosu w świecie, wybierają mężów z pomiędzy arystokracji europejskiej, to najczęściej gorzko potem oplakują swój błąd. W Ameryce rzadko bardzo się zdarza, aby kobieta wychodziła za mąż dla majątku lub stanowiska; ale już wcale nie jest tolerowaniem to, aby mężczyzna, przyszła głowa rodziny, sprzedawał się za posag żony. Ten, któryby popełnił taką zbrodnię przeciw przyjętym obyczajom, nazawsze zgubiłby się w opinii swoich współziomków.

W Europie małżeństwo jest targiem, a część, którą żona wnosi do wspólki, równa się części męża, którego stanowisko znaczy nieraz tyle, ile fortuna.

W Ameryce, w rodzinach zajmujących wybitniejsze stanowiska w społeczeństwie, rozwody trafiają się dość rzadko, ale niewątpliwie łatwotą zawiązywania i rozrywania więzów małżeńskich grozi w przyszłości upadkiem rodzinnego życia. Jedyne lekarstwo na to w religii. Ciekawą byłaby z tem wszystkim statystyka porównawcza starego i nowego świata, któraby wykazała: gdzie lepiej dochowywana jest wierność małżeńska? Nie wątpię, że Ameryka dowiodłaby w tem wyższości swej nad Europą.

Intryga, podstęp i kłamstwo, tak rozpowszechnione u nas, do tego stopnia wstrętne są prawej i szczerzej naturze amerykańskiej, że, nie czując się skrepowaną względami religijnymi, któreby ją powstrzymywały od dawania folgi swoim namiętnościom, przenosi ona rozwód i powrotny związek nad pobłażliwość męża lub groźby Otella.

Niebezpieczeństwo wynikające z obyczajów amerykańskich tkwi nietyle w faktach bieżących, ile w następstwach mogących z nich wynikać w przyszłości. Od 1868 r. liczba rozwodów dosięgła poważnej liczby 328.716; ale więcej niż dwie trzecie należy do warstw niższych: nie dowodzi więc to jeszcze ostatecznego rozluźnienia węzłów rodzinnych w klasie średniej i wyższej.

Najsurowsze postanowienia prawodawców, reakcyonistów czy postępówców, nie są zdolne powstrzymać wzburzonej fali namiętności ludzkich. Rewolucye moralne odwracają niekiedy bieg ich, ale wcześniej czy później, zrywają one zawsze stawianą im tamę. Jest tylko jeden głos, który wśród rozpasania ogólnego społecznych żywiołów góruje nad wrzawą i odzywa się w każdej duszy, a tym jest: głos sumienia. Jedna tylko religia, i to religia katolicka, może kiedyś w Ameryce położyć tamę niewątpliwemu, ale nie obcemu i Europie zepsuciu obyczajów amerykańskich.

Ale nie natchniona i pełna poetycznych przeñośni wymowa Franciszka Salezego, nie logika Św. Augustyna, ani dogmatyka Jana Złotoustego, jeno praktyczne rozumowanie samozachowawczego instynktu, doprowadzą kiedyś owo różnorodne rojowisko Nowego Świata, do uznania wyższości i przewagi zasad kościoła rzymskokatolickiego.

A. Z.

Kronika działalności kobiecej.

— W Petersburgu zawiązuje się drugie stowarzyszenie kobiece popierania pracy kobiet w zakresie sztuki.

— Ministeryum oświecenia ogłasza, że kobiety chcące zostać uczniami aptekarskimi ulega-

ją egzaminowi z języka łacińskiego w zakresie czterech klas gimnazyów męzkich.

— Na wystawie nasion i produktów gospodarstwa domowego w dziale III produktów nabiałowych i przetworów owocowych otrzymała medal złoty Klaudia Sigalina z Warszawy za kefir, wielki medal srebrny hr. Augustowa Potocka za masło śmietankowe z dóbr Miedzyrzeczkich; medal srebrny p. Anna Ryl z Warszawy za gomułki; medale brązowe otrzymały p. p. Natalia Wolf z Cielądza za soki i konfitury, Aniela Milewska z Kalisza za masło śmietankowe. Hr. Potocka otrzymała jeden jeszcze medal srebrny za ogół przedstawionych nasion, i można powiedzieć, iż pani ta zajmuje wśród kobiet naszych jedno z miejsc wybitniejszych i umie tak zarządzać wielką fortuną swoją, że skarbi sobie zasługę użytecznej kraju swego obywatelki. Pieńdz, nierozstrwoniony na zbytki, nie przechodzi do obcych i znajduje się też zawsze, gdzie go potrzeba na nakład rozumny, na zarząd dobry włóściami swojemi. Starczy go jeszcze i na czyn tak szlachetny, jak owa pocziwa ofiara milionowa na wzniesienie potrzebnej miastu naszemu świątyni Pańskiej.

— Warszawskie stowarzyszenie pań Ś-go Wincentego a Paulo, które z rokiem bieżącym rozpoczęło trzydziesty ósmy rok istnienia, ogłosiło sprawozdanie z czynności swoich za rok ubiegły. Zadaniem towarzystwa jest pielęgnowanie chorych we własnych ich mieszkaniach, odwiedzanie rodzin ubogich, przynosząc im przytem osobiście wsparcie pieniężne, lub żywność i odzież, oraz udzielając im rad dobrych w pokierowaniu pracy swojej i wychowywaniu dzieci, wogóle pokrzepiając i dając wskazówki potrzebne ludziom ubogim i prostym. Towarzystwo wydaje z apteki swojej, mieszczącej się we własnym dworku Towarzystwa przy ulicy Ordynackiej, bezpłatne lekarstwa ubogim wszelkich wyznań, posiadającym odpowiednie świadectwo lekarzy. W roku sprawozdawczym wydało Towarzystwo lekarstw 14.750. Otrzymywało czasowy przytułek małych dziewczyn, czy-to osieroconych przez śmierć rodziców, czy-to zostawionych bez opieki wskutek ich choroby lub podobnych okoliczności. Dziewczynek takich przytułilo Towarzystwo w ciągu roku 38; z tych oddano rodzicom 4, do służby 1, na opiekę dobroczynną 4, w instytucie Sióstr Miłosierdzia umieszczono 4. Na opiece Towarzystwa pozostało 25, do czego przyłożyła się pomocą ofiarność jednej ze stowarzyszonych, która urządziła kosztem własnym sześć łóżeczek. W ciągu roku wspierano 812 rodzin, z pomiędzy których w skutek powrotu do zdrowia i zmienionych okoliczności wykreślono 384, pozostało zatem na opiece Towarzystwa 332. Rozdano z ofiar, nadesłanych w naturze przez osoby dobroczynne: 126 funtów słoniny, 66 korcy kartofli i 10 korcy innych jarzyn, oraz beczkę kapusty. Na święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy otrzymało kolendy i święcone 220 rodzin, obok tego rozdano 500 strucl. Węgla wydano korcy 100; chleba 132.368 funtów, mąki 23.000 fun., kaszy 134 fun., mięsa 7.550 fun., soli 7.600 fun., ubrania 1.624 sztuk.

Towarzystwo, nie wymieniając nazwiska tych różnych dobrodziejów, którzy się na te datki składali, dziękuje szczególnie D-r Fritsche za przyjmowanie dzieci ubogich na kolonie letnie, p. Mutniańskiemu, aptekarzowi za dostarczanie materiałów aptecznych po cenach bardzo niskich, a często bezpłatnie, oraz pp. Julianowi Wertheimowi i Bersohnowi za znaczną ofiarę węgla, p. Karolowi Ditrichowi z Żyrardowa, pp. Szejblem z Łodzi i zarządowi fabryki Zawiercie za materiały na ubrania dla ubogich. Przychód z kwest, ze składek pań stowarzyszonych, z darów jednorazowych i z procentu od sum legowanych wynosił, wraz z remanentem zeszłorocznym 12.658 rs. Rozchód: na żywność, rozdaną ubogim w naturze, na utrzymanie dzieci w Przytułku, na komorne ubogich, na utrzymanie Sióstr Misosierdzia i inne drobniejsze wydatki wynosił 12.481 rs., zatem pozostaje remanentu na rok bieżący 176 rs.

Towarzystwo poniosło wielką stratę przez śmierć ś. p. Anieli Bogusławskiej, która od 1858 r. zajmowała się gorliwie zbieraniem wsparć, aby

na święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy coś świątecznego dobrobytu mogło się dostać rodzinom ubogim, przytem wyszukiwała potrzebującym robotę, wyjednywała im maszyny do szycia po cenach niższych i na wypłatę. Zmarła też szlachetna opiekunka Towarzystwa: hr. Kossakowska Michalina, która cierpiąc od lat wielu i ztąd nie mogąc rozwijać działalności czynnej, wspierała Towarzystwo znacznymi datkami. Obecnie liczy ono 116 członków.

— Czynność szwalni Tow. Dobroczyńności została rozszerzona. Dotychczas gromadzące się tam dziewczęta oddawały się przeważnie szyciu bielizny; obecnie na żądanie kilku rękawiczników warszawskich zarząd szwalni, mieszczącej się w gmachu po-dominikańskim, przeznaczył 50 dziewczynkę do szycia rękawiczek.

— P. Zofia Straciewiczowa, ukończywszy za granicą studia farmaceutyczne i, otrzymawszy stopień prowizora farmacji, obejmuje zarząd apteki w okolicach Grodna. Dwie młode panny z Warszawy udają się tam w charakterze uczniów aptekarskich.

— Anna Koziarowska, pełniąc przez lat pięćdziesiąt obowiązki służącej, zebrała sobie kapitał, stosunkowo znaczny: 4.500 rs., który zapisała obecnie aktem regentalnym na rzecz piastunek, niezdolnych już do pracy, a które spełniały te obowiązki najmniej przez lat dwadzieścia. Legataryuszka zastrzegła sobie dożywotnie używanie procentów od zapisanego kapitału.

— Nowo utworzony zarząd nauczycielek składają: hr. Marya Ronikierowa, jako przewodnicząca, pp. Teresa Brzezińska i Jadwiga Sikorska opiekunki; D-r Tomaszewicz-Dobrska lekarzka zakładu. Radę opiekunczą tworzą: hr. Róża Krasińska, prezydująca, Emilia Blochowa, zastępczyni. Członkami zakładu są: pp. Borkowska Aleksandra, Bogusławska Marya, Brzezińska Jadwiga, Gutman Julia, Handtke Marya, Jasińska Anna, Kamocka Józefa, Lange Marya, Laska Anna, Morawska Zuzanna, Szlenkier Marya, Sulikowska Aleksandra, Warnke Jadwiga, Wieniawska Helena, Zamoyska Józefa.

Do liczny, zrzeszony w Towarzystwa Jedwabniczego zapisała się d. 15 Marca p. Rohozińska z Wólki Karwickiej. Naliście tej powinno być zapisanych setki kobiet, bo jest to dział pracy kobiecej, nietylko bardzo korzystny w stosunku do niewielkich, bo krótko trwających trudów pracy, ale mogący wytworzyć ważną gałąź przemysłu krajowego z jednej, pracy kobiecej, z drugiej strony. Przy dzisiejszych, mało pomyślnych dla gospodarstwa rolnego czasach, jedwabnictwo mogłoby się stać ważnym źródłem dochodu i zarobkowej pracy kobiecej na wsiach. We Francji lud nazywa morwę *drzewem złotem*, bo gdy uboga wieśniaczka posiada ich kilka, już żyć może z dochodu wyhodowanych na ich liściu gąsienic jedwabników.

Z bieżącej chwili.

— „Wiadomości Petersburskie“ donoszą, że ministerium dóbr państwa zamierza urządzić w lecie b. r. wystawę garncearstwa w jednym z centrów tego przemysłu.

— Otwarcie w Petersburgu kursów sadownictwa i warszawnictwa dla nauczycieli szkół ludowych, nastąpi w czerwcu b. r.

— Programy zapowiedzianych na r. 1892 kongresów: archeologicznego, antropologicznego i zo-

ologicznego w Moskwie, zostały zatwierdzone przez ministerium oświaty.

— Komitet Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego na rok bieżący składają pp. Prezes hr. Felix Czacki, wiceprezes Emil Marx, dyrektor muzyczny Zygmunt Noskowski, wice dyrektor Michał Hertz, kassyer Aleksander Czajewicz, gospodarz Aleks. Feist, sekretarz i bibliotekarz Aleks. Poliński.

— Malarze warszawscy wysyłają znaczną liczbę obrazów na międzynarodową wystawę do Berlina, gdzie będzie urządzony oddział osobny: „für Polnische Kunst“. Koszta przewozu tam i z powrotem ponosi zarząd wystawy. Do smutnych wiadomości należy to, że War. Towarzystwu Zachęty Sztuk Pięknych, ubyłoby na rok bieżący 418 członków. Towarzystwo posiada kapitału zapasowego 50.367 rs.

— Muzeum Zoologiczne we Frascati zbogaciło się zbiorami nadesłanymi z Ameryki Południowej przez podróżnika naszego i naturalistę, Kalinowskiego, który kosztem hr. Branickiego zwiedza tamte okolice świata. Wspomniana przesyłka mieści obok zbioru owadów, muszli, jaj, okazy ptaków egzotycznych, rzadkich zwierząt ssących: lam, goryli, leniwców. Muzeum we Frascati tak dopełniane i porządkowane pod starannym kierunkiem kilku warszawskich naturalistów, posiada już zbiory znaczne i wobec nauki wartościowe.

— Zarząd Muzeum Pszczelniczego na Koszykach ogłasza i to już po raz kilka, że p. Kazimierz Lewicki nie należy zupełnie do Muzeum, że założył jedynie w sąsiedztwie, tuż pod bokiem Muzeum, ogródek, któremu nadał nazwę: Muzeum Pszczelnicze zjednoczonych pszczelarzy i pszczolarek“ i w charakterze dyrektora tego muzeum, odbiera niejednokrotnie z poczty przesyłki pieniężne, przesyłane do Muzeum na Koszykach. Pod odezwą, wykazującą prawdziwy stan rzeczy, podpisani są członkowie obecnego zarządu: pp. hr. Chrapowicki, K. Łuszczewski i P. Dąbrowski.

— Za Pośrednictwem „Biesiady Literackiej“ prezes Akad. Krakowskiej Dr. Meyer, tłumaczy, dla czego też Akademia nie mogła nadesłać z funduszu zapisanych jej przez s. p. Ks. Jakubowskiego większej sumy na koszt przeniesienia zwłok jego i wznieszonego mu pomnika. Część tych pieniędzy została już według woli testatora zużytkowana, a to, co pozostaje, powinno tworzyć, także według woli zapisodawcy, fundusz nieruchomy, od którego procenta mają być zużytkowywane na wskazane w testamencie cele. Nadesłane przez Akademią 100 zł. reń. mogły być jedynie użyte jako fundusz przeznaczony na nieprzewidziane wypadki.

— Pomnik Mickiewicza w Krakowie stanie ostatecznie na głównym rynku krakowskim. Tego sobie życzyli ci, którzy myśl swoją i pragnienie wzniesienia pomnika powierzyli s. p. Zyblikiewiczowi, tak więc stać się było powinno.

— Tegoroczne wyścigi we Lwowie trwać będą wedle już ułożonego programu dni pięć; summa nagród prywatnych przewyższa 20.000 zł. reń., przytem ministerium rolnictwa podniosło rządową nagrodę klasy pierwszej z dwóch na cztery tysiące zł. reń., dodając jeszcze na potrzeby inne wystawy koni 1.000 zł. reń.

— Dnia 18 b. miesiąca wspaniała tęcza ukazała się nad Lwowem.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim ogłasza niniejszem, iż w ciągu r. b. 1891 wakować będą następujące stypendya:

1) z funduszu imienia Józefa Simmlera, stypendyum r. 240, dla młodzieńca rodem z Królestwa Polskiego, bez różnicy wyznania, posiadającego rzeczywisty talent i pragnącego wydoskonalic się w sztuce malarskiej. Stypendyum przyznane będzie temu z kandydatów, który pod okiem delegowanych członków Komitetu Towarzystwa najlepiej wykona studium olejne z natury, oraz szkic kompozycji na zadany temat. Ze współubiegających się, jednakowej kwalifikacji, pierwszeństwo mieć będzie Simmler, krewny zmarłego artysty malarza Józefa Simmlera.

2) z zapisu Heleny Korwin-Szymanowskiej, stypendyum r. 150, dla młodzieńca, urodzonego w Królestwie Polskiem, wyznania rzymsko-katolickiego, ubogiego, moralnej konduity, pragnącego wydoskonalic się w sztuce malarskiej lub rzeźbiarskiej. Stypendyum przyznane będzie temu, kto pod okiem delegowanych członków Komitetu Towarzystwa najlepiej wykona na temata wyznaczone prace, za dostateczne uznane. Ze współubiegających się jednakowego uzdolnienia. Szymanowscy herbu Słepowron przydomku Korwin, lub Kossowscy z Głogowy będą mieli pierwszeństwo do stypendyum.

3) z zapisu Ignacego Ciszewskiego, stypendyum r. 215 dla młodzieńca, poświęcającego się sztuce rzeźbiarskiej, według wyboru Komitetu Towarzystwa.

Kandydaci, pragnący się ubiegać o powyższe stypendya, winni najpóźniej do dnia 1-go Września r. b. 1891 uczynić podanie do Komitetu Towarzystwa, na papierze bez stempla z załączeniem: metryki urodzenia, świadectwa zamieszkania, świadectwa stanu majątkowego i świadectwa dobrej konduity; zaś kandydaci Simmlerowie, Szymanowscy i Kossowscy, oprócz powyższych dowodów, i legitymacją swego pochodzenia. Co zaś do stypendyum Ciszewskiego, kandydaci winni przedstawić Komitetowi obok wzmiankowanych dowodów i odpowiednią własną pracę, o ile takowa nie była umieszczona na wystawie Towarzystwa przed podaniem się na stypendystę. Gdyby który z kandydatów pragnął uzyskać jedno z powyższych stypendyów dla kształcenia się za granicą, winien przedstawić świadectwo naczelnika gubernii o pozyskaniu pasportu na pobyt za granicą.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 21-ty powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevensona, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Modlitwa, (wiersz) przez M. Ilnicką. — Marya Pape-Carpentier, przez M. Ilnicką. — Fryderyk Szopen jako człowiek i artysta (dalszy ciąg). — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Korotyński literat, (przypomnienie) (dokończenie) przez Stanisława Krzemińskiego. — Kobieta w Ameryce (dokoń.) — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 21-ty powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevensona, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 44 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

PRZEGLĄD MÓD.

Wiosenne płaszczyki, żakiety, okrycia i t. p. — Nowe fasony w magazynie pani Anny, róg Marszałkowskiej i Próżnej.

Przejście z zimy do wiosny, zaznacza się zwykle wielką różnorodnością w dziedzinie mody. Trudno nie tylko okiem objąć, ale i wyliczyć wszelkie przygotowane nowości.

Obecna wiosna, przynosi nam cechę mody angielskiej głównie co do kostiumów spacerowych i różnorodnych okryć a zatem materyały angielskie i krój angielski tak zwany „tailor mode.“ Krój ten polega na wielkiej prostocie form, ale też na nader dokładnem i wykwińtem wykończeniu, wyłącza wszelkie zbytkowne ozdoby i wszelkie mieszaniny kolorów i materyałów. Staniki i żakiety dopełniają poły, krótsze lub dłuższe, rozchodzące się z przodu a przyszyte o kilka centymetrów poniżej wcięcia, po większej jednak części krajane są razem ze stanikiem. Tylne ich długość jest 70—75 cent., przodu nieco dłuższe. Zdobą je kilka rzędów stebnówki, lub brzeg obszyty sznureczkiem jedwabnym w kolorze materyału. Przody wyszywają się sutaszem, zwanym „vermicelle“, jest to wyszycie w drobną kółeczka naśladujące drobny makaron, niektóre mają całe rękawy sutaszowane w taki sposób, kołnierze „Médicis“ lub szalowe. Duże guziki w dość odległych odstępach przyszywane stanowią również cechę angielską.

Materyały używane na okrycia, są tkaniny lekko kiprowane, lub kędzierzawe — inne przypominające połyskiem swoim atlas albo zupełnie gładkie albo w niewyraźny desień, dalej zawsze praktyczne i lubione sukno, wigon i lama.

Co do kolorów — na pierwszym planie wykwińskiej mody, stoją wszelkie odcienie brązowe, następnie kolor popielaty i wszystkie odcienie żółtawo-piaskowe. „Bleu marin“ jakkolwiek zawsze noszony, lecz już mniej używany. Co zaś do czarnego — pozostanie on

Nr 1. Część tylna płaszczyka dla panienki od 11 — 13 lat (do ryc. Nr 27).



Nr 3. Suknia z szewjotu ozdobiona pasmanterją.

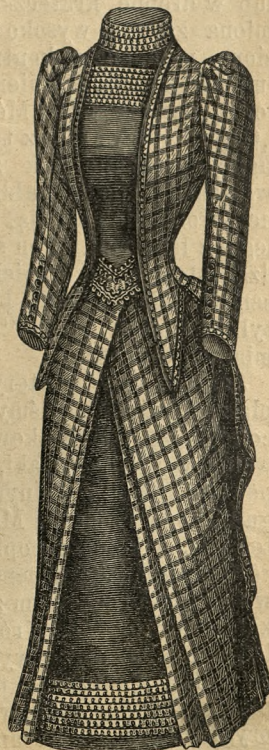
Nr 4. Suknia z bengaliny i wigoni.



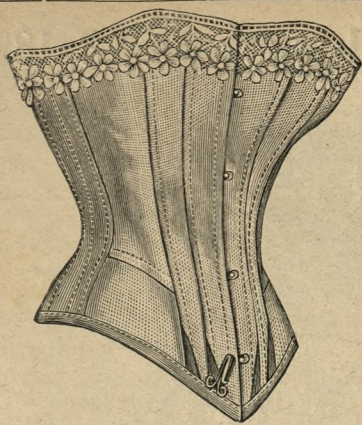
Nr 2. Suknia z materyału gładkiego i w kraty (do ryc. Nr 5). Op. pierw. str. tabl.

zawsze gustem osobistym, nie ulegającym przewadze mody — w obecnej jednak chwili wykluczonym został z ogólnego użycia, zwłaszcza co do okryć z grubszych materyałów. W zamian czarna koronka, ma być główną podstawą okryć w lecie.

Na dolmany, których forma nie uległa wielkiej zmianie i jest najpraktyczniejszą dla osób poważniejszych, na mantylki z długimi końcami i na małe pelerynki zwane „capes“, których śliczne w zupełnie nowym rodzaju fasony, tylko co przywiozła z zagranicy pani Anna (róg Marszałkowskiej i Próżnej) używają najczęściej: angielskie materyały lub wełnę miękką w paski i zawsze sukno. Jedną z tych pelerynek w magazynie pani Anny, miała spiczasto-podłużny karczek z tyłu, oraz szerokie gładkie plecy z wyciskanego aksamitu ciemno piaskowego — pelerynki zaś które formowały poprzecznie bufiaste rękawy, były z sukna tegoż koloru. Dla osób szczupłych owe modne pelerynki rozmaitych fasonów, są bardzo zręcznem i wy-



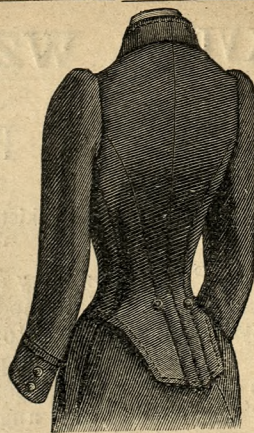
Nr 5. Przednia część sukni ryc. Nr 2.



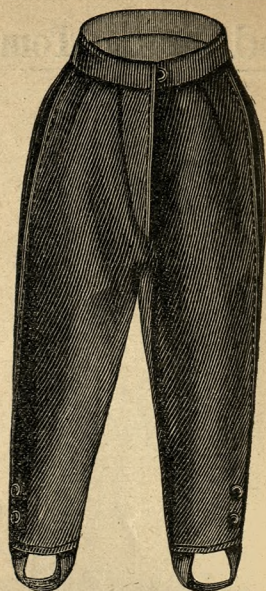
Nr 14. Gorset do konnej jazdy. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 13-19).



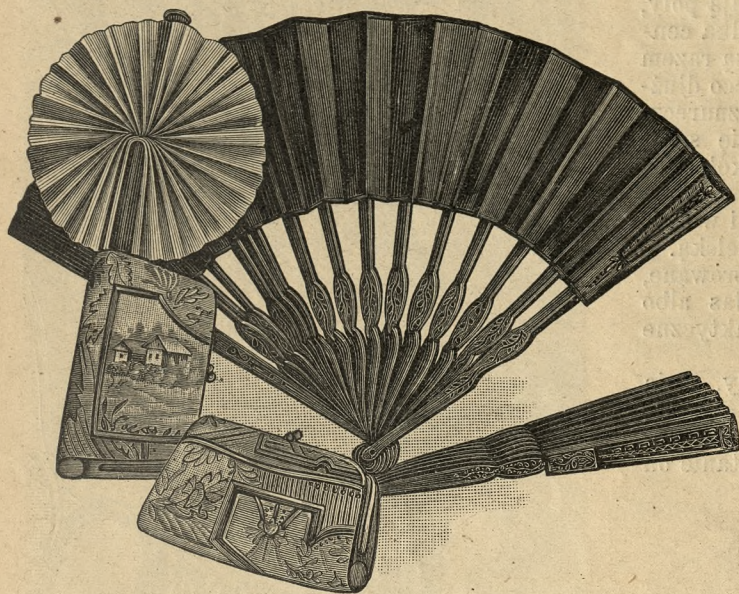
Nr 6-11. Broszki i bransoletki z emblematami sportu.



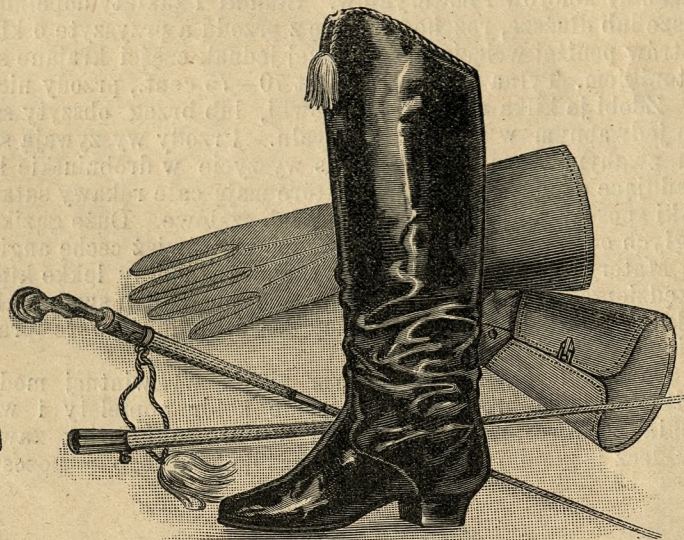
Nr 12. Tylna część stanika do konnej jazdy (do ryc. Nr 4).



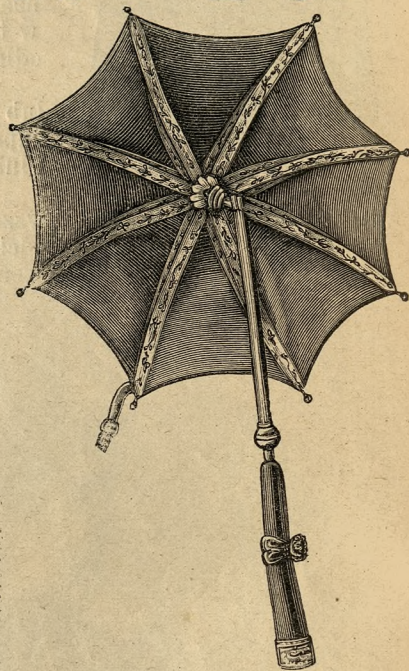
Nr 13. Damskie majtki do konnej jazdy. (Krój i op. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 11 i 12).



Nr 21-24. Wachlarze i portmonetki z wachlarzem.



Nr 15-18. Rękawiczki, szpieruty i buty dla dam do konnej jazdy.



Nr 25. Parasol od słońca.

godnem okryciem, bo je, gdy zaciepło, można na rękę zarzucić.

Jako nowość oryginalną wymienimy okrycie w tymże magazynie pani Anny widziane, bardzo prostego kroju. Do karczka zwyczajnego z aksamitu lub z sukna ozdobionego haftem, przyszyta marszczona falbana, pokrywająca figurę aż za kolana a czasem tylko za biodra. Nie jest to estetyczne jakkolwiek malownicze, ale wymaga wielkiej elegancji w ruchach i w całej postawie. Tak zwane „capes“ o których wyżej wspomnieliśmy, robią przeważnie z sukna, i zdobią złotym galonem lub jaśniejszą od materiału pletnią. Skromniejsze zaś a równie ładne, z wigonii, haftu lub pasmanterii, z materiałów pletowych angielskich gładkich lub w drobne krataczki. Ramiona zawsze wysoko wzniesione, układane w kontrafaldy lub marszczone. Kołnierze szalowe, stojące lub „Medicis“. „Capes“ przystają z tyłu do figury, wiązane jak zwykle wstążką od spodu. Faldy boczne, swobodnie spadają, równolegle z linią rąk. Ten sam rodzaj stosują do długich wiosennych płaszczków, które są tylko odmianą „capes“ w wymiarach długości.

Jako nowy materiał na płaszczki, widzieliśmy tylko co nadeszła u p. Makowskiego wełnę w tkane szlaki, które powtarzają się w dolnym brzegu kilkoma rzędami. Materiał ten jest w kolorze popielatym ze szlakami czarnymi, lub w żółtawo-brązowym ze szlakami brązowymi. Krótka pelerynka „cocher“ wykonana ze szlaków, nadaje takiemu płaszczkowi wyjątkową cechę oryginalności. Polecamy jednak głównie płaszczki z ma-



Nr 19. Płaszczki wiosenny (do ryc. Nr 16 w Bl. Nr 12).

Nr 20. Suknia z sukna ozdobiona frędzlą z piór. (Opis pierw. str. tabl.).

teryału angielskiego długi i swobodnie spadający, zapinany na guziki. Zdobia go kapturkiem prawdziwym lub pozornym, z kolorową podszewką, niektóre zakończone są kołnierzem „Medicis“, co uważamy za mniej dogodne i nie właściwe rzeczywistemu przeznaczeniu, tak praktycznego okrycia. L. C.

Suknia z materiału wełnianego gładkiego i w kraty.

Rycina Nr 2 i 5

Suknia w kraty granatowe z białym, z materiału wełnianego. Część przednia spódnicy i stanika w rodzaju kaftanika z materiału wełnianego gładkiego koloru granatowego. Część przednia spódnicy, kołnierzyk i napiersnik ozdobione haftem maszynowym, wykonanym jedwabiem koloru białego i granatowego. Układ spódnicy podług ryciny na spódnicy z podszewki, mającej długości 105 c. z przodu a 112 c. w części tylnej.

Suknia z szewjotu ozdobiona pasmanterią.

Rycina Nr 3.

Suknia z szewjotu koloru zielonego, złożona z spódnicy i z wetmanu formą „princesse“, rozcięta z przodu i na bokach, przez co widzialną jest pasmanteria zdobiąca spódnice. Pasmanteria wykonana



Nr 29. Tylna część płaszczyka dla panienki od 5—7 lat (do ryc. Nr 28).

jest z tasiemeczek jedwabnych w kształcie klinów, zakończonych w dolnym brzegu szeroką frędzlą. Kliny te należy podszyc materiałem jedwabnym. Napierśnik również z pasmanterii na podkładzie z szewjotu. Kołnierz wykładany ozdobiony aksamitem. Zaszewki stanika od pachy pokryte pasmanterią. Rękawy podług ryciny ozdobione pasmanterią a w dolnej części aksamitem.

Suknia z bengaliny i wigoni.

Rycina Nr 4.

Suknia z bengaliny koloru piaskowego. Spódnica z podszewki wykonana zwykłym sposobem, pokryta w dolnym brzegu w miarę potrzeby wigoniem. Przód z bengaliny ozdobiony guzikami,



Nr 26. Paltocik dla chłopczyka od 7—9 lat. (Krój i op. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 48—51).

Nr 27. Płaszczki dla panienki od 11—13 lat (do ryc. Nr 1. (Krój odwr. str. tabl. Nr V, fig. 26—34).

Nr 28. Płaszczki dla panienki od 5—7 lat (do Nr 29). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 20—25).

dalej wązka fałda z wigoni układanej w fałdy. Stanik w rodzaju kaftanika z wigoni, krzyżowany zaś napierśnik z bengaliny z kołnierzem wykładanym z tegoż materiału. Rękawy z bengaliny. Guziki wykończają całość podług ryciny.

Płaszczki dla panienki od 11—13 lat.

Rycina Nr 27 i 1. (Krój odwr. str. tabl. Nr V, fig. 26—34.

Płaszczki z materiału wełnianego koloru granatowego, przybrany stebnówką i pasami z aksamitu tegoż koloru. Po dopełnieniu złożenia fig. 26 i przedłużeniu takowej w kierunku strzałki stosownie do potrzeby, skrajając z materiału i jedwabnej podszewki fig. 26, 27 i 31 po dwie części, uwzględniając kontur lewego przedniego brzegu. Podług fig. 32 jedną część. Fig. 33 i 34 po dwie części złożone wzdłuż środka, rękawy z uwzględnieniem konturu górnego brzegu spodniej połowy. Wykonać nacięcia w przednich częściach i w takowe powszywać kieszenie. W prawej przedniej części umocować jeden na drugich każdy † na kropce oraz * oznaczone lit. a, b i c. Przy-



Nr 30 — 40. Letnie kapelusze.



Nr 41. Część gałązki do koszyczka Nr 42 (wielkość oryginalna).



Nr 42. Postumencik na papier listowy, marki pocztowe i t. p. (do ryc. Nr 41). Deceń odwr. str. tabl. Nr X, fig. 53.



Nr 43. Podłużna serwetka (ścieg płaski, gałązkowy i przezroczysty).

żyć guziki do lewej przedniej części i listwę z dziurkami do prawej. Skrajać z podszewki fig. 28 dwie części, zeszyć takowe od 5 do 6, pokryć skrajana z materiału fig. 29 złożoną wzdłuż środka, którą w dolnej części dwa razy przemarszczyć. Połączyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr. Skrajać fig. 30 z materiału i podszewki, jedną część złożoną wzdłuż środka, przyszyć takową od 9 do 10 do przednich części, przemarszczyć 2 razy w górnym brzegu i połączyć takową z boczami i plecami. Na pelerynkę skrajać z materiału i z podszewki część 21 c. dł. a 150 c. obwodu. W górnym brzegu zmarszczyć takową w dwa rzędy odpowiednio do szerokości wycięcia szyi, przyfastrygować do płaszczyka od 5 do 12 i wszyć kołnierzyk zaopatrzony podkładem i obszyty w górnym brzegu na 2 c. szer. aksamitem. Umocować pasek w miejscach oznaczonych * i dwukropkiem, przyszyć haftki do zapinania i ozdobić klamrą

dżetową. Po wykonaniu w rękawach fałd, trafiając każdy $\frac{1}{2}$ na kropkę, zeszyć takowe od 13 do 14 i od 15 do 16. Mankiety zaopatrzone podkładem obszyć na 2 c. szer. aksamitem, połączyć od 15 do 17 i przyszyć do rękawów, które zmarszczyć od * do * i wszyć w płaszczyk, trafiając w 16 na 16.

Przepisy gospodarskie.

Karp' dymiony.

Dużego karpia oczyścić z łuski, nie używając wody do opłukania, tylko grubym płótnem po oskrobaniu obetrzeć, następnie przeciągnąć sznurek przez głowę i zawiesić w komynie nad dymem z wiórów drzewa bukowego konieczne, z których stanowczo niedopuszczalnego, aby płomień szedł tylko zimny o ile można dym przez godzin 6 nie dłużej. Na drugi lub trzeci dzień a nawet po tygodniu, byle wisiał w zimnie, gotować jak kto chce i lubi, albo z czerwonym winem, albo z octem, wodą i włoszczyzną, a następnie podać go z młodem masłem na sucho ubrany zieloną pietruszką, nigdy jednak z szarym sosem. Mdławym smakiem karpia podnosi się niezmiernie zapachem dymu.

Przepis otrzymany od ś. p. Artura Potockiego.

Obiad na Niedziele.

1. Barszcz czysty z jajami.
2. Ozór, pekefleisz lub szynka na gorąco z chrzanem.
3. Groszek zielony z grzankami.
4. Indyjczka lub cielęcina z kompotem z pomarańcz.
5. Mazurki.

KORESPONDENCYA.

Odp. p. M. B. w Ostrowcu.

Widocznym jest na rycinie, że cała serwetka robi się szydełkiem, w podpisie tylko była omyłka w „Bazarze.”

Odp. p. Budk... w Radziszowie.

Rotundy się zawsze noszą i ubierają piórami lub aksamitem ale tylko kołnierze, zwykle tego cieniu co rotunda, ale ciemniejszymi. Trzewiki jasne noszą się zawsze do jasnych sukien. Co do ubrania sukni, to objaśniają liczne wzory w Bluszczu, gdzie są opisane suknie i czym się ubierają, zależy to jednak głównie od własnego gustu.

Jak się czyszczą rzeczy nikielowe, proszę zajrzeć do broszurki autorki 365 obiadów: „Co chcesz wyczyścić” czyli „Porządki domowe.”

Odp. p. Z. X.

O próbki należy pisać do Paryża, do magazynu „Au bon marché” lub „au printemps,” oni wysyłają całe książeczki z próbkami na cały świat franco, i to pani zapewne nazywa albumem z próbkami.

Tablica krojów dołączona do N-ru 12 Bluszczu służy też do Nru dzisiejszego.



Nr 44. Ubranie damskie do konnej jazdy (do ryc. Nr 12). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—10.